Nr. 154. Lwów — Wtorek dnia 9 Lipca. Rok 1907.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . . 3 „ — „ w innych Państwach . . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłaty należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 hal.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, spisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, o znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 4 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo . h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp. prywatne „ „ 8 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Rękopismów Redakcya nie zwraca. Niefrankowanych listów nie przyjmuje.

Dziś: | Wt. | św. Cyryla B. | Dawida
Jutro | Śr. | św. Amalii P. | Samsona

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o godz. 3 min. 40; Zachód „ „ 7 „ 17

Długość dnia godzin 15 min. 37; Ubyło dnia od wczoraj 1 min.

Agitacya między urzędnikami.

W Austryi wychodzi mnóstwo tygodników, poświęconych wrzekomo interesom urzędniczym, jednakże większość ich zajmuje się tylko jątrzeniem i szkalowaniem wyższych urzędników. Takie pisma zakładają i zapełniają artykułami urzędnicy usunięci ze służby, są to więc wydawnictwa, poświęcone najczęściej osobistej zemście. Agitują one teraz za taką pragmatyką służbową, aby urzędnik, po wyjściu z biura, miał prawo występować przeciw rządowi i przełożonym, jak mu się podoba. Żadna krytyka i żaden jej sposób — głoszą te tygodniki — nie może ściągnąć na urzędnika nieprzyjemności służbowych. Wolno mu, jako obywatelowi, należeć do wszelkich stowarzyszeń, choćby najbardziej opozycyjnych, i wygłaszać swe opinie głośno. Będzie to pożyteczne, bo któż lepiej od urzędników zna tak zwane „kwiatki biurokratyczne“.

Niewątpliwie nasi urzędnicy trafnie ocenią niedorzeczność takiej agitacyi, wynikającej z anarchicznego myślenia. Oczywiście, niczyich praw obywatelskich nie wolno naruszać, ale nie wolno także naruszać obowiązków uczciwości: albo się służy rządowi i wtedy trzeba być względem niego lojalnym, albo atakuje się rząd i wtedy trzeba opuścić służbę rządową. Solidarność urzędników z rządem wszędzie na świecie jest uznana za zasadę, od której nie wolno ani na włos się uchylić, ponieważ urzędnicy są rękami rządu. Ta zasada doprowadziła w Stanach Zjednoczonych i Rumunii do tego, że razem ze zmianą stronnictwa rządzącego, zmieniają się także wszyscy urzędnicy na odpowiedzialnych posterunkach: jeżeli gabinet jest liberalny, to i każdy starosta, komisarz, sędzia także musi być liberałem; jeżeli zaś przyjdzie do steru konserwatywny, to zaraz usuwa tamtych urzędników, a powołuje swoich. Zrobione to jest właśnie dlatego, aby urzędnicy byli nawskróś solidarni z rządem. Lecz może to być zrobione tylko tam, gdzie urzędnikom zostawiono swobodę umierania z głodu na starość, lub złożenia sobie funduszu, jak się uda, przez czas urzędowania. Drugi system jest lepszy. Wedle niego przyjmuje się jako zasadę, że kto chce służyć państwu, zrzeka się na czas tej służby własnych politycznych i społecznych zapatrywań, chowa je na dnie żelaznej skrzynki, zamyka na siedm zamków i odtąd staje się neutralnym w najściślejszem rozumieniu tego słowa: ani rządu nie krytykuje, ani żadnego stronnictwa. Najdokładniej przeprowadzono tę zasadę w Anglii, gdzie urzędnicy nie mają prawa brać udziału w żadnej zgoła agitacyi — ani za rządem, ani przeciw rządowi — a jeżeli który z nich zapragnie ubiegać się o mandat poselski, czy członka rady hrabstwa, (rady powiatowej), to musi pierwej podać się do dymisyi. Bo się w Anglii rozumuje w ten sposób: rząd jest do wykonywania administracyi wspólnie z urzędnikami, a parlament i wszelkie rady są do kontrolowania tej administracyi. Otóż niepodobna być administratorem i zarazem kontrolerem własnej działalności, zatem urzędnik nie może być równocześnie posłem, a poseł, który otrzyma jakikolwiekbądź urząd, musi natychmiast złożyć mandat. Wyjątek zrobiono z konieczności dla ministrów, ale i ci, po otrzymaniu teki, są obowiązani natychmiast poddać się w swoim okręgu pod głosowanie, aby wyborcy mogli orzec, czy zgadzają się, iżby ich przedstawiciel parlamentarny był zarazem urzędnikiem państwowym.

W innych państwach europejskich w zasadzie obowiązują angielskie reguły, nie są jednak przeprowadzone tak ściśle, lecz to jedynie ze względów oportunistycznych, aby urzędnicy-posłowie tworzyli obóz rządowy. Do opozycyi nie wolno im należeć, ani podczas wyborów agitować przeciw rządowi. Kiedy kilka lat temu w Prusach landraci, którzy jako posłowie należeli do rządowego stronnictwa junkierskiego, razem z niem głosowali przeciw ministeryalnemu projektowi kanałowemu, natychmiast otrzymali dymisyę.

Tak być powinno ze względu na karność służbową, a niemniej także ze względu na uczciwość, bo jużci, służyć rządowi i jednocześnie zwalczać go nie jest szlachetnie. Takiemu człowiekowi nikt ufać nie może. Moralność jego jest wątpliwa, godna co najmniej lekceważenia. Natomiast urzędnik zupełnie neutralny, który stoi na straży tylko ustaw i sprawiedliwości, zdobywa sobie powszechny szacunek, ogólne zaufanie, i przez to znakomicie wpływa na trwałość społecznego ładu. Mogą być z niego niezadowolone wszelkie żywioły rozkładowe — jak właśnie niezadowolone są one z naszych urzędników — ale za to oddają oni wielką usługę swemu społeczeństwu.

Przesilenie, czy też krach naftowy.

Notując przed kilkoma dniami, że Zakład kredytowy dla handlu i przemysłu wypowiedział z końcem sierpnia kontrakt z „Petroleą“, wskazaliśmy na to, że pozostający w stanie chronicznych przesileń nasz przemysł naftowy wystawiony zostanie obecnie na niezwykle ostrą krizis, a to przez nagłe i zupełne rozbicie z mozołem i trudem zdobytej organizacyi w „Petrolei“. Wprawdzie „Petrolea“ nie dawała zrazu związanym z nią w kartel producentom jakichś nadzwyczajnych korzyści, otrzymywali oni bowiem za każdy centnar tylko zaliczkę w kwocie 2 kor. 75 h. (podczas gdy cenę ropy ustanowiono na 4·25 w obrocie wewnętrznym, a na 2 k. na eksport do Niemiec) a nadwyżek, jakie miały być wypłacane po zamknięciu roku rachunkowego, nigdy nie oglądali z tej przyczyny, że bywały one obracane na pokrycie kosztów organizacyi, kosztów magazynowania olbrzymich zapasów, etc., ale właśnie przez związanie się z wiedeńskim zakładem kredytowym dla handlu i przemysłu wzmocniła była „Petrolea“ swoją organizacyę i była nadzieja, że od września uzyska wyższą cenę za ropę, mianowicie 5 k. 50 h. za centnar metr., co byłoby znacznie poprawiło stosunki w przemyśle naftowym. Nadto dawała „Petrolea“ producentom tę olbrzymią korzyść pośrednią, że jako silna organizacya kartelowa chroniła ich od wyzysku pozakrajowych rafinerów. Z wiosną tego roku zmniejszyła się produkcya ropy, a co za tem idzie poprawiły się szanse producentów, mogli oni bowiem umniejszać znaczne zapasy zmagazynowanej ropy i znaleźli się wobec rafinerów w łatwiejszem niż dotąd położeniu.

Aliści w kwietniu i w maju otwarły się w Borysławiu i w Tustanowicach nowe szyby, których produkcya jest tak wielką, że już sam nadmiar produkcyi nakazywał obawiać się w roku bież. ostrego przesilenia. Znawcy oceniali tegoroczną sytuacyę jako podobną do sytuacyi z przed lat pięciu, kiedy to produkcya 8,200.000 cent. metr. ropy w jednym roku wywołała taki spadek cen, że sprzedawano po 1·25 kor. cent. metr. Pessymistyczne te przewidywania stały się przyczyną niemałego popłochu, który i tak już zwykle zdenerwowanych drobnych przemysłowców naftowych, podniecił jeszcze więcej i pobudził w nich tak właściwy nam popęd do ratowania się na własną rękę, zamiast tem bezwzględniejszego garnięcia się do organizacyi, czem niebezpieczeństwo jest większe. Tedy do kilku większych rafineryj nafty rzuciła się cała rzesza drobnych producentów, którzy na łeb, na szyję przelicytowywali się w obniżaniu ceny ropy, patrząc tylko na zysk chwilowy, jaki mieli stąd, że sprzedając ropę nawet za 3·25 kor. za cent. metr. dostawali gotówką więcej, niż „Petrolea“ dawała zaliczki (2·75 kor.). Rychło doszło do tego, że już w czerwcu rafinerzy pokryli całe swoje zapotrzebowanie po za „Petroleą“, która w ten sposób została zmuszoną cały swój wpływ magazynować. Wobec tego Zakład kredytowy wypowiedział jej kontrakt. To rzuciło najsilniejsze hasło popłochu. Cena ropy spada dzisiaj z każdym dniem; a ponieważ rafinerzy trzymają się z silną rezerwą i czekają dalszego spadku cen, tedy jeszcze w tym miesiącu należy spodziewać się spadku ceny do 2 kor. lub najwyżej cośkolwiek zaledwie ponadto. Cena taka byłaby krachem przemysłu naftowego, gdyż przy niej zaledwo największe szyby mogłyby pokryć swoje wydatki; opór mniejszych przedsiębiorców popadłby od razu w niewypłacalność. Jeżeli więc w najbliższej przyszłości nie uda się powstrzymać tego popłochu, a z nim spadku ceny, to spodziewać się należy olbrzymiej liczby bankructw w przemyśle naftowym, a co za tem pójdzie i ogólnej depresyi w kraju.

Korespondencye.

Wiedeń 5 lipca.

(Wzmaganie się proletaryatu inteligencyi. Nie ma posad dla matematyków i fizyków. Mali zbrodniarze. Dziwna pretensya.)

(y). Odezwa, jaką wystosował tymi dniami akademicki związek niemieckich matematyków i fizyków do dyrekcyi wszystkich niemieckich gimnazyów i szkół realnych w Austryi, jest drastyczną illustracyą tej plagi społecznej, jaka coraz dotkliwiej odczuwać się daje, a mianowicie, że proletaryat inteligencyi coraz bardziej się powiększa i coraz liczniejszymi stają się zastępy młodych ludzi z ukończonem wykształceniem akademickiem, nie mogących znaleźć kawałka chleba w tym zawodzie, do którego długoletniemi studyami się przysposobili. We wspomnianej na wstępie odezwie prosił ów akademicki związek dyrekcye gimnazyów i szkół realnych, by ostrzegały młodzieńców, kończących studya w tych zakładach, ażeby pod żadnym warunkiem nie wybierali sobie zawodu nauczycieli matematyki i fizyki, bo kandydatów do tego zawodu jest takie mnóstwo, iż można nimi obsadzić wszystkie posady, jakie zawakują w ciągu najbliższych lat dziesięciu, a może i więcej. W samym Wiedniu np. czeka obecnie na posady przeszło stu ukończonych filozofów, którzy zdali z dobrym postępem egzamin na nauczycieli matematyki i fizyki, w październiku zaś powiększy się ich liczba jeszcze bardziej, gdyż kilkudziesięciu nowych kandydatów złoży egzamin. Tymczasem wedle informacyi, zasięgniętych u źródła najbardziej kompetentnego, bo w ministerstwie oświaty, do służby państwowej przyjętych będzie w tym roku z tej grupy zawodowej nie więcej, jak dziesięciu kandydatów, a nie ma też widoków, aby stosunki te mogły poprawić się w najbliższych latach.

Dodać przytem należy, że także w innych grupach zawodowych panują podobnie przykre stosunki, i że wogóle młodzieniec, poświęcający się studyum filozoficznym, musi być z góry przygotowanym na to, iż przez długi szereg lat będzie suplentem, zanim otrzyma posadę profesorską. Ale i otrzymanie suplentury przychodzi niestety coraz trudniej. Słowem, przyszłość młodych ludzi z ukończonemi studyami uniwersyteckiemi przedstawia się coraz smutniej, a zdaniem profesora wszechnicy tutejszej dra Eschericha, wielkie zasługi położyłby ten, ktoby podał uczącej się młodzieży praktyczne wskazówki co do tego, jaki zawód ma sobie obrać.

Niedawno pisałem o strasznem zepsuciu moralnem, panującem wśród dziatwy szkolnej w Wiedniu, którą niestety coraz częściej zajmować się muszą policya i sądy. Tymi dniami zdarzyło się znów kilka wypadków, w których dzieci szkolne popełniły kryminalne zbrodnie. W Hütteldorfie np. gromada, złożona z sześciu malców, napadła na przechodzącego pustą ulicą piętnastoletniego kelnera. Mali rabusie powalili go na ziemię, pokaleczyli i wydarli mu portmonetkę z pieniądzmi. Obrabowany, wyrwawszy się w końcu, wpadł do najbliższej restauracyi i opowiedział, co mu się stało. Puszczono się więc w pogoń za uciekającymi rabusiami i złapano wszystkich sześciu. Stanowili oni zorganizowaną bandę złodziejską, której hersztem jest 13-letni uczeń szkoły wydziałowej Rudolf Unverzagt, podkomendni zaś jego mają po lat 11, 12 i 13 — a jest jeden najstarszy piętnastoletni. Szajka ta popełniła ostatnimi czasy mnóstwo kradzieży w Ottakringu. Przed sądem w Meidlingu zaś stawał przed paru dniami 13-letni uczeń szkoły ludowej Franciszek Mendel, będący pomimo młodego wieku jednym z najniebezpieczniejszych nałogowych złodziei. Dochodzenia policyjne stwierdziły, że popełnił on w ciągu paru miesięcy przeszło 130 kradzieży na sumę prawie 12.000 koron. Do spółki ze swym 16-letnim bratem odbywał on wyprawy złodziejskie do Badenu, Tulln, St. Andrä, Siebenliesten i innych miejscowości i kradł co się nawinęło. Starszy brat stał na czatach, a młodszy kradł. Sąd powiatowy w Meidlingu nie wiedząc, co począć z tym małym zbrodniarzem — odstąpił całą sprawę sądowi krajowemu w Wiedniu.

Niezwykły proces rozegrał się wczoraj przed tutejszym Trybunałem cywilnym. Oto 61-letni właściciel realności Jan Eggenberger z Badenu, zaskarżył 70-letnią wdowę Joannę Pickh o to, że zerwała zawarte z nim zaręczyny i naraziła go przez to na znaczne straty materyalne. Z tego powodu domagał się Eggenberger przyznania mu odszkodowania w sumie 46.000 koron. Geneza tego zajmującego procesu jest następująca: Pani Pickh, osoba zamożna, wynajmywała od kilkunastu lat mieszkanie letnie w realności Eggenbergera w Badenie. Z początkiem roku ubiegłego owdowiał Eggenberger, a gdy w maju przyjechała do jego domu pani Pickhowa na letnie mieszkanie, on oświadczył się o jej rękę, a ona przyjęła oświadczyny. Tak przedstawia Eggenberger sprawę w skardze, dodając, że Pickhowa po zaręczynach zmusiła go do zwinięcia kramiku, jaki on utrzymywał i do wynajęcia swej realności za bardzo tani czynsz na lat dziesięć. Później oświadczyła mu, że wcale nie myśli za mąż wychodzić — i dlatego Eggenberger domaga się odszkodowania, które oblicza na 46.000 koron. W sądzie oświadczyła pozwana Pickhowa, że cała skarga jest wytworem fantazyi skarżącego, gdyż ani jej się śniło przyjmować oświadczyn Eggenbergera i zaręczać się z nim. Wprawdzie coś razu pewnego napomknął jej o małżeństwie, ale ona wzięła to za żart i powiedziała mu: „Skoro jesteś pan takim amatorem starych bab, to udaj się do miejskiego domu zaopatrzenia, tam masz wielki wybór“. — Sąd oddalił skargę Eggenbergera.

Trzej olbrzymi w walce o karła.

W sobotnim numerze *Zeit* z dnia 29 czerwca pojawił się artykuł dra Iwana Franki, pod powyższym tytułem. Zamieszczając ten artykuł, oświadcza redakcya, że ponieważ zamieściła już w sprawie polsko-ruskiego zatargu artykuły Björnsona, Paderewskiego i Sienkiewicza, przeto daje jeszcze głos najznakomitszemu wśród współczesnych Rusinów, p. Iwanowi France i równocześnie zamyka polemikę w tej sprawie. Ponieważ podaliśmy dokładnie przekłady wszystkich tamtych artykułów, przeto dla uzupełnienia tej polemiki podajemy i to, co mówi ten najznakomitszy z Rusinów. Artykuł jego nie przyczyni się oczywiście do złagodzenia zatargu polsko-ruskiego; owszem, roznamiętnienie powiększy, choćby już przez to samo, że jest pisany żółcią i złością. Bjornson w swoim artykule rzucił pod naszym adresem kilka strzał zatrutych, ale starał się je okupić pewną dozą wykwintnych komplimentów. Paderewski i Sienkiewicz polemizowali z Björnsonem na polu historyi, geografii, statystyki, polityki etc. — ale ani jednem słowem nie ubliżyli Rusinom. P. Franko nie umiał polemizować bez ubliżania Polakom, a wyrażenia karczemne, jak „bezczelność“, „ignorancya“, „kłamstwo“ etc., należą do epitetów, mających upiększyć i wzmocnić jego styl. Niestety epitety te nic nie wzmacniają, nikogo nie przekonywują, a najczęściej są wyrazem bezsilnej złości. Oddawna bowiem spostrzeżono, że w polemice ten tylko używa ostrych słów, komu brak silnych argumentów.

Powiedziawszy to, podajemy dosłowny przekład artykułu dra Franki.

Redakcya Przeglądu.

Trzej olbrzymi stoczyli świeżo na łamach *Die Zeit* zaciętą walkę, a przyczyną jej był karzeł, ten wiecznie upośledzony ruski (ukraiński) naród — biedna sierota, o której losach chcą stanowić wielcy.

Naprzód wystąpił rycerz północny, pan Björnson, z typową zapalczywością junacką, wiedziony najszlachetniejszym zamiarem ujęcia się za biedną sierotą i, jak na olbrzyma przystało, z niedostateczną rozwagą. Plan ataku ułożył sobie w nawskróś poetycki sposób: bardzo poetycki motyw przewodni — satanizm w historyi narodów i pojedyncze małe fakta i notatki dziennikarskie jako ilustracye i udowodnienie dla wielkiego motywu. Atak zrobił wielkie wrażenie, więcej z powodu tego moty-

---

Trzy zwierzenia

W obszernym, wykwintnie urządzonym pokoju przed dogasającym ogniem na kominku siedziało trzech mężczyzn. Usadowiwszy się w miękkich, głębokich fotelach, w milczeniu palili cygara. Czerwony abażur przysłaniał światło lampy elektrycznej, pokój tonął w półcieniu, harmonizującym z panującą w nim ciszą.

Deszcz dzwonił w szyby, z ulicy dochodził przytłumiony turkot dorożek; chwilami rozlegało się skrzypnięcie zamykanej bramy, łomot źle przytwierdzonego szyldu, szczeknięcie psa, lub oddalony świst lokomotywy.

Jak to się często zdarza pomiędzy starymi przyjaciółmi adwokat, sędzia i lekarz czuli się dobrze w swem towarzystwie, nawet wówczas, gdy żaden z ulubionych tematów ich rozmów nie nasuwał się im na myśl. Tak było i dzisiaj: wszyscy trzej długo milczeli, wpatrzeni w dogasający płomień, zatopieni w sobie.

Nagle adwokat otrząsnął się, i jak gdyby odpowiadając na własną myśl, powiedział:

— Jestem głęboko przekonany, że każdy człowiek bez wyjątku ma na sumieniu przynajmniej jeden zły, niski uczynek, a nawet, być może — zbrodnię. Ludzie najporządniejsi, najwięcej godni szacunku, napewno mają w swej przeszłości niejedną czarną plamę i ciężkie wspomnienie. Wszyscy nosimy maskę, wszyscy usiłujemy wydać się szlachetnymi, uczciwymi, a czasem pracujemy nad sobą, by być takimi istotnie. W gruncie rzeczy wszakże gramy tylko pewną rolę; chodzi więc jedynie o to, by odegrać ją dobrze. Najzręczniejsi będą się wydawali najszlachetniejszymi; u niezręcznych i słabych widać robotę. Świat wydaje o nas sąd, nie na zasadzie tego, jakimi jesteśmy w rzeczywistości, lecz tego, jakiemi być pragniemy.

Sędzia i lekarz siedzieli zdumieni. Ostrym dysonansem zadźwięczały słowa adwokata wśród słodkiego *dolce far niente*, jakiemu byli oddani po obfitym obiedzie przy wonnem cygarze, spoczywając przed kominkiem. Sędzia wreszcie wyprostował się w swoim fotelu i odświeżywszy umysł szklanką ponczu, odpowiedział:

— Może i masz słuszność. Zaczyna być nudno, obowiązek nigdzie nas nie woła. Zrzućmy maski, niech każdy z nas wypowie to, co czai się w najciemniejszym, najskrytszym zakątku jego duszy. No, któż zaczyna?

— Mówisz to poważnie?

— Najzupełniej! Odważmy się raz jeden być całkowicie szczerymi i mówić samą tylko nagą prawdę.

— No, i zachowajmy nasze zwierzenia w bezwarunkowej tajemnicy.

— To się rozumie samo przez się! A zatem, kochany mecenasie zaczynaj!

* * *

— Kilka lat temu —rozpoczął adwokat— byłem zmuszony wydać obiad — nie zwykły obiad przyjacielski — lecz obiad wystawny, na którym znajdowało się kilkunastu moich znajomych ze swemi żonami. Urządziłem wszystko jak najwykwintniej, nawet ze zbytkiem, nie żałując pieniędzy.

Gości moich rozlokowałem przy stole w ten sposób, by każdy ze swego sąsiedztwa był jak najbardziej zadowolony. Nastrój był doskonały, humory wzrastały, rozmowy stawały się coraz głośniejszemi... Wino perliło się w kielichach, twarze pań pokryły rumieńce, oczy błyszczały. Wieczór się udał!...

Nagle w przedpokoju zadźwięczał dzwonek; na szczęście nikt go prócz mnie nie posłyszał. Dzwonek, przerywający obiad zawsze działa mi na nerwy: nie znoszę, gdy przeszkadzają mi podczas jedzenia, zwłaszcza, kiedy przy stole moim mam gości. Za chwilę lokaj oznajmił mi szeptem, że jakiś człowiek chce się ze mną widzieć. Kazałem zapytać o nazwisko, i co go sprowadza. Nazwisko wydało mi się obcem, przyczynę zaś odwiedzin mógł powiedzieć tylko mnie samemu. Przeprosiwszy gości, wstałem od stołu i w fatalnym humorze wyszedłem do przedpokoju.

Na progu stał człowiek, mogący naprawdę wzbudzić litość swoim wyglądem. Wytarty tużurek, który zastępował mu teraz wśród ostrej zimy palto, zapięty był od góry do dołu. Twarz chuda i blada odbijała chorobliwą bladością od czarnej, gęstej brody. Zapadłe oczy świeciły gorączką. Ujrzawszy mnie, ukłonił się niezgrabnie, począł w największem zmieszeniu i zaniepokojeniu przestępować z nogi na nogę, miąć czapkę w ręce i bełkotać luźne, ledwie zrozumiałe wyrazy. Był to dyurnista, znajdujący się właśnie z powodu długiej choroby na bezpłatnym urlopie, żonaty i ojciec pięciorga małych dzieci. Mieszkał w jednej z moich kamienic, a ponieważ zalegał z czynszem, rządca mój wyrzucał go z mieszkania. Przyleciał do mnie, jako do ostatniej instancyi, błagać o litość. Zapewniał mnie, że nic nie stracę, że jest zdrowszy, że wraca do biura na dawnych warunkach i że mi wszystko zwolna wypłaci.

Ale trafił na złą chwilę. Byłem w najwyższym stopniu zirytowany, na lokaja, który mi go wpuścił, i na niego samego, że mi zepsuł wesoły nastrój owego wieczoru.

— Proszę mię zostawić w spokoju — rzekłem wyniośle. — Na to mam rządcę, żeby się z lokatorami rozprawiał.

Odwróciłem się od niego i otworzyłem drzwi do jadalni. Strumienie światła elektrycznego i śmiech napełniły przedpokój.

Gdy spojrzałem po za siebie, chcąc sprawdzić, czy natręt wyszedł, zobaczyłem, jak oczy jego bezbrzeżnie smutnem spojrzeniem obrzuciły rzęsiście oświetloną salę, potem utkwiły we mnie... Nigdy nie będę w stanie zapomnieć tego spojrzenia, tyle w niem było cierpienia, gorzkiego upokorzenia, rozpaczy!

Sędzia i lekarz uśmiechnęli się.

— I to wszystko?... Zbyt czułe masz serce. Taka rzecz, jak odmówienie jałmużny żebrakowi, bo to przecież był formalny żebrak, nie powinna zakłócać spokoju twego sumienia!

* * *

— Teraz na mnie kolej — odezwał się sędzia — ale uprzedzam was, że mój grzech jest cięższy....

Miało to miejsce w ostatnim roku moich studyów uniwersyteckich. Znajdowałem się wówczas w położeniu niesłychanie trudnem. Sprawa miała się tak, iż byłem zaręczony. Narzeczona moja była brzydka, nie kochałem jej ani przez chwilę; byłem wszakże bez grosza i bez widoków na przyszłość, ona zaś miała pieniądze. Wahać się, byłoby głupotą — małżeństwo to stało się dla mnie jedyną deską ratunku. Sytuacya wszakże nie była tak prosta. Na parę lat przedtem poznałem i pokochałem ładną i dzielną dziewczynę, i jak się to mówi, uwiodłem ją.... Uciekła dla mnie od rodziców, poświęciła mi wszystko.

Inteligentna, serdeczna, pracowita, kochała mię bez pamięci. Znalazłem w niej równocześnie kochankę, towarzysza pracy, przyjaciela. Mieliśmy dziecko. Żyliśmy niesłychanie cicho i skromnie; pensya, przysyłana mi przez ojca wraz z zarobkami mej ukochanej, starczyła ledwo na nędzną wegetacyę. Życie jej nie było ani łatwem, ani wesołem, nigdy jednak z ust jej nie wyszła skarga, nigdy nie widziałem jej zachmurzonej, lub niezadowolonej; każdy brak, każdą przykrość, każde niepowodzenie umiała mi osłodzić, złagodzić; cała istota jej była przeniknięta miłością i oddaniem; czułem, że jestem jej światem całym...

— No i cóż? — z zaciekawieniem przerwał adwokat.

— No, i gdy ukończyłem studya i przyszedł czas powrotu do domu, rzuciłem ją z dzieckiem, nie uprzedziwszy ani jednem słowem, nie pożegnawszy nawet. Od tej pory nic o niej nie słyszałem, a co prawda, i nie starałem się nawet usłyszeć...

Zapanowało milczenie; po chwili wszyscy naraz zaczęli mówić. Adwokat znalazł okoliczności łagodzące. Przecież to tylko zwykła, stara jak świat, historya uwiedzionej, a potem porzuconej dziewczyny! Zapewne, to bardzo przykre, że cała hańba, cała odpowiedzialność spada na kobietę, która najczęściej nie ma ani rodziny, ani środków do życia... Ale jeszcze z tego nie wynika, by człowiekowi taki fakt miał zepsuć całe życie. Zazwyczaj historya podobna kończy się tem, że numer pierwszy zostaje zastąpiony przez numer drugi.

— A ty, doktorze, jakąż znów zbrodnię masz na sumieniu? Że ciężką, to zaraz można poznać z twej twarzy.

— Czy to była zbrodnia, nie wiem. Długie lata, które stanęły pomiędzy mną, a chwilą, gdy się to stało, uspokoiły znacznie moje sumienie. Lecz był czas, że moja „czarna plama“ była dla mnie źródłem niewypowiedzianych męczarni. Wysłuchajcie i osądźcie.

* * *

Ojciec mój umarł w bardzo młodym wieku, zostawiwszy w spadku mej matce dziecko, t. j. mnie, graty z trzech pokoików i emeryturę tak wielką, że nie pozwalała nam obojgu umrzeć z głodu. Przyszła chwila posyłania mię do szkoły, trzeba było książek, czystego i całego ubrania; zrobiło się nam jeszcze trudniej. Matka cudem jakimś dostała tłumaczenia do gazet, a przy nieustannej pracy i fenomenalnej wprost oszczędności, jakoś sobie dawała radę. Ubóstwiałem ją i wcześnie nauczyłem się oceniać jej poświęcenia, dzięki którym miałem co zjeść, co włożyć na siebie i mogłem się uczyć.

Znaleźli się dobrzy ludzie, którzy przez wyrobienie mi maleńkiego stypendyum, ułatwili mi wstęp na uniwersytet. Jakże byłem dumny, jaki szczęśliwy, gdy posiadłem możność dalszego kształcenia się. Lecz po wybuchu pierwszej radości przyszła chwila zastanowienia. Z czego żyć? Stypendyum wynosiło, jak po większej części stypendya galicyjskie, ledwie coś około 300 koron. Wówczas mój były dyrektor zaproponował mi na wakacye posadę w domu pewnego obywatela ziemskiego, gdzie za lekcye z czterema chłopcami, mogłem otrzymać dwieście koron. Z entuzyazmem przyjąłem propozycyę, umożliwiającą mi skończenie uniwersytetu. Zajęcia z chłopakami było dużo, lecz rodzina, w której przebywałem, przyjęła mnie życzliwie, a okolica była prześliczna. Nic nie mąciłoby mej radości, gdyby nie rozłączenie z matką. Dotychczas nie rozstawaliśmy się ani na jeden dzień, a chęć ujrzenia jej budziła się we mnie chwilami z taką siłą, iż musiałem używać całej siły woli, by nie rzucić wszystkiego i nie wrócić do niej.

Chlebodawca mój był człowiekiem bardzo bogatym i zajmował wybitne stanowisko w społeczeństwie; zarówno on, jak i jego żona

wu przewodniego, niż z powodu zebranego materyału do jego poparcia. A ten motyw przewodni był fałszywy. Historya Polski i Rusi wcale nie jest szataniczną. Jest to ludzka, aż nazbyt ludzka historya, na którą też i z ludzkiego stanowiska należy patrzeć i ją oceniać, bez wszelkiego mistycyzmu, od którego niestety nie uwolnił się ani pan Paderewski, ani pan Sienkiewicz, w nie mniejszej mierze, jak pan Björnson. I gdy zarzuca się jemu, że do ataku swego dał się nakłonić informatorom ruskim, to jest to czysty nonsens już ze względu na jego motyw przewodni. Ten motyw przewodni to wykwit najistotniejszy natury Björnsona, natury szlachetnej i kochającej ludzi, lecz więcej czerpiącej z uczucia, niż ze znajomości rzeczy. Takim znamy go z jego wspaniałych nowel młodzieńczych, z wielkich jego dramatów, taki wystąpił on i do turnieju publicystycznego.

Żadna ruska informacya nie mogła poddać panu Björnsonowi tych nadmiernych komplimentów, którymi zasypuje on naród polski. „Nie mamy może — pisze on — wspanialszego narodu pośród nas. Silny, piękny, utalentowany, świetlany w każdym czynie swoim, bohaterski i rycerski, niegdyś niezaprzeczenie najpiękniejszy kwiat rycerskich turniejów“... — tego nie napisze żaden historyk, żaden krytycznie myślący umysł, tak mówi tylko poeta, który z poszczególnych, luźnych promieni światła rychło laską czarodziejską stwarza wspaniałą charakterystykę narodu. Charakterystyka ta równie mało przystosowuje się do polskiego narodu, jak do któregobądź innego; abstrahowaną jest ona z odosobnionych promiennych zjawisk — prawdziwie po poetycku, lecz zgoła nie historycznie.

W tych samych szerokich rzutach traktuje pan Björnson także kwestye bieżące. „Jądrem rosyjskiej rewolucyi — wywodzi on — było to, do czego dążyła francuska rewolucya, a do czego odtąd dąży cały świat, tj. sprawiedliwy podział ziemi; oto było pierwsze i ostatnie zadanie Dumy; pod tym względem reprezentanci wszystkich ludów w Rosyi byli zgodni.“ Czyż tak było naprawdę? Bynajmniej! Ani francuska, ani rosyjska rewolucya nie miała takich celów. Pierwszem zadaniem rewolucyi rosyjskiej (rozwój myśli ludzkiej nie zna „ostatnich zadań“) było zdobycie i zabezpieczenie sobie elementarnych praw ludzkich i obywatelskich dla wszystkich mieszkańców państwa rosyjskiego, złamanie wszechpotęgi administracyi; a jeżeli Duma pod naciskiem nędzy ludu naprzód zajęła się kwestyą agrarną, zanim zapewnić zdołała najelementarniejsze prawa ludzkie i obywatelskie, to był to wielki błąd taktyczny, który też srodze się na niej zemścił.

Ciekawe jest, że te fundamentalne błędy inwektywy Björnsona, przeciw którym Polacy rozpoczęli walkę, pominęli oni zupełnie. Tylko mały wrzodzik w ich historyi, o który Björnson niebardzo delikatnie zawadził, wywołał z ich strony gwałtowne okrzyki bólu i rzeczywiście bohaterskie obelgi. Była to kwestya ruska. Pan Björnson dotknął jej tylko pobieżnie i przytoczył tylko odosobnione, stosunkowo mało znaczące fakta: fałszowanie wschodnio-galicyjskiej statystyki! Mój Boże! cóżby to być miała za zbrodnia? Ludzie, których w statystykach fałszywie zapisano, nawet wcale tego nie spostrzegą. A ci panowie, którzy tego fałszerstwa dokonali dla swoich celów, budują na niem konkluzye, które ostatecznie naturalnie okazują się fałszywe, i w ten sposób łapią się ci panowie we własne sieci. I tak ostatnią reformę wyborczą zbudowano na podstawie fałszywej statystyki. Polacy mieli w swoich statystykach cały milion rodaków we wschodniej Galicyi i zbudowali bardzo mozolny system wyborczy, ażeby tej imponującej liczbie dopomódz do panowania — i cóż się stało? Największa liczba polskich kandydatów nietylko w okręgach wiejskich, ale i w okręgach miejskich wschodniej Galicyi przepadła; panowie statystycy mogą się tylko poskrobać w głowę. Pan Björnson pisze: „Ruscy chłopi w Galicyi żyją z pośród wszystkich chłopów w Europie w najnędzniejszych stosunkach“ i przedstawia ich następnie jako „masy chudych, obdartych i zaskrzepłych w brudzie mężczyzn, kobiet i dzieci, wyłażących z nędznych chat o glinianej podłodze.“

Nie, panie Björnsonie, i tego panu chyba nie powiedział żaden ruski informator, to poddało panu pańskie szlachetne, współczujące serce poety. Lecz ono się omyliło. Przysłowiowa „nędza galicyjska“ wcale tak nie wygląda, jak ją sobie maluje pańska szlachetna dusza. Nędza chłopska w Galicyi, a szczególnie w ruskiej Galicyi wschodniej, to już przezwyciężone zło, to stan, w którym chłopi wyszli z patryarchalnej nad nimi pańszczyźnianej opieki i pozostawali jeszcze przez parę lat dziesiątek, dopóki ich dawni panowie mieli jeszcze wszechmożne, długie nad nimi swoje ręce. Ale dzisiaj to już *tempi passati*. Nasz biedny, przez wiele lat systematycznie zubożany i ogłupiany lud podniósł się już o własnej sile i własną energią z tego upadlającego stanu i dla swojej siły roboczej i swoich zdolności zdobył już w Ameryce i w Niemczech źródła zarobku i uznanie, we własnym języku przyswoił sobie elementa oświaty, uzyskał jasny pogląd na sprawy polityczne i socyalne i z radośną ufnością patrzy w lepszą dla siebie przyszłość. Gdy mówić pan chce o galicyjskim brudzie, to niech go pan nie szuka we wsi galicyjskiej, ale w galicyjskich miasteczkach i miastach. Np. dla największej części galicyjskich mieszkańców wsi jest pluskwa jakiemś stworzeniem nawpół mitycznem, które znajduje się tylko w miastach.

W jednem ma tylko pan Björnson bezwarunkową słuszność: tego całego współczesnego prądu dążeń do zdobywania materyalnych i duchowych dóbr nie zawdzięczają galicyjscy chłopi i robotnicy swoim dawnym patryarchalnym panom. Największa część nędzy galicyjskiej wypływa nie z upodlenia galicyjskich mas ludowych, ale z niskiego moralnego i intelektualnego stanu klas rządzących w Galicyi. One leniwe w myśleniu i bezkrytyczne śnią dalej sen o politycznej wszechpotędze, noszą się ze staremi szlacheckiemi fantazyami i uczuciami, zachowują stare swoje tradycye i przesądy jako narodowe świętości, w duszy mają dla swego (tylko nie dla obcego) ludu szyderstwo i wzgardę, uważają, że wszelkie poczucie prawa ich nie obowiązuje i z wytrwałością właściwą wszystkim pasożytom gniotą wszelkie poruszenia samodzielnej myśli i duszy ludu — także i duszy swego własnego ludu. Oto jest największa nędza galicyjska! Mówię tu wyraźnie tylko o prowincyi, którą stanowi Galicya, i o klasie panującej w tej prowincyi, a bynajmniej nie chcę na tej podstawie ferować wyroku o całym narodzie polskim i o polskiej inteligencyi w innych prowincyach, których wcale nie znam.

Tyle uwag moich nad znaną inwektywą norweskiego poety. Pomimo niejednego niesłusznego założenia, do którego go ani zła wola, ani mylne informacye nie zawiodły, lecz przedewszystkiem jego poetycka wyobraźnia i jego współczujące serce, przecież nieomylnym instynktem poety przeczuł pan Björnson słuszność, ukazał ranę rusko-polskich stosunków i zasłużył sobie tem na wdzięczność przyjaciół ludzkości, a przedewszystkiem Rusinów galicyjskich. Głos słabszy możeby tego nie zdołał dokonać.

Przyjrzyjmy się teraz obydwom szlachetnym rycerzom, którzy śmiało i pewni zwycięstwa wystąpili przeciw rycerzowi z północy. Pierwszy jest pan Paderewski, wielki w sali koncertowej, mistrz fortepianu, także sławny ze swoich włosów, jak kiedyś inny Polak, Smolka, sławnym był ze swoich wąsów. Jego wygląd i jego muzyka zawsze mnie oczarowywały, lecz tylko muzyka bez słów. Jego słowa usłyszeliśmy przed kilkoma laty, gdy z powodu pospolitej w Galicyi lichej gospodarki musiał on sprzedać swoje dobra w Galicyi zachodniej i za to społeczeństwu polskiemu, chłopom, urzędnikom i żydom wyciął porządny pater noster. Teraz przystroił się w kostyum trębacza z Säkkingen, ogłaszającego staropolską świetność. Niestety, wygrywa same tony fałszywe. „Polacy — ogłasza on — nie będąc wprawdzie narodem aniołów, byli przecież już w wiekach średnich jednym z najbardziej wolność miłujących i tolerancyjnych narodów“. *Excusez du peu!* Dawna Polska przyjmowała ludzi wszystkich religii: Aryanów, Socynianów, Kalwinów, Lutrów, Greków, Ormian i t. d. — naturalnie było to w czasach reformacyi, a nie w wiekach średnich i wszyscy ci reformowani nie wytrzymali długo w Polsce, musieli bowiem stać się katolikami, albo wynosić się z opanowanego przez Jezuitów kraju. „Także — powiada dalej pan Paderewski — żydzi znaleźli u nas schronienie i dach...“ Tak, lecz nie był to narodowy czyn Polski, lecz prywatna przyjemność króla polskiego Kazimierza Wielkiego, który był zakochany w żydówce, a którego nazywają także „królem chłopków“ za to, że on w swoim Statucie wiślickim położył pierwszy fundament dla ujarzmienia chłopów. Zresztą za tę polską gościnność zapłacili żydzi bardzo drogo; przyszli oni do Polski jako wolni, wysoce cywilizowani mężowie i zeszli tutaj w ciągu stuleci do pogardzanego, odstraszającego typu „polskich żydów“; i gdy w oczach naszych z karykatury tego typu poczyna się wytwarzać narodowy typ żyda, to Polacy są najgorszym jego wrogiem. Jak dawniej tylko chłopa w pańszczyźnie, tak teraz chcieliby polscy panowie widzieć dookoła siebie tylko z dawna zaufanego „polskiego żyda“, ale w żadnym razie wolnego, równouprawnionego obywatela.

Pan Paderewski „stwierdza“ nie bez żalu, że w Galicyi istnieje „kwestya ruska“. Jakżeż to szlachetnie! Właściciel plantacyi, który z litością myśli o przedwczesnej śmierci swoich niewolników, których ze spokojnem sumieniem zamęczył na śmierć. Jego żal opiera się na fantastycznych notatkach starych kronik, które uważają Galicyę za pierwotnie polski, przez ruskich książąt okupowany kraj, który cudownym sposobem w przeciągu kilku lat stał się czysto ruskim i nie zachował ani śladu z pierwotnej ludności polskiej. Nonsens i bezpodstawność tej notatki kronikarskiej wykazała nowoczesna historyografia już dawno i pogrążyła ją w nicość. Lecz panu Paderewskiemu wolno o tem nie wiedzieć.

„Kazimierz Wielki — powiada on — w r. 1340 bez poważnego oporu ze strony ludności tego kraju przyłączył go do Polski napowrót“. Naturalnie, był to właściwie napad rozbójniczy, po którym Kazimierz Wielki w dwa tygodnie obładowany łupem powrócił do Krakowa; zaś połączenie Galicyi wschodniej z Polską nastąpiło faktycznie dopiero w r. 1441, przyczem Kazimierz musiał przysiądz, że szanować będzie obrządek ruski, ruskie prawa i zwyczaje; od tej przysięgi zresztą zwolnił go papież jeszcze tego samego roku (patrz M. Kruszewskyj „Historya Ukrainy“ tom IV, str. 22—26, po rusku). „Od tego czasu — powiada pan Paderewski — stała się Galicya wschodnia krajem o mięszanej ludności“. — Dlatego zapewne nazywała się Rusią... „Obydwa narody bratnie — ciągnie dalej p. Paderewski — uprawiały rolę w tym kraju urodzajnym i broniły go przed napadami nieprzyjaciół“. Jakie to idyliczne! Szkoda tylko, że w historyi widzimy te dwa „bratnie“ narody już w wieku piętnastym w stosunku pana i niewolnika, i że dzięki polskim rządom mała, z łuków strzałami strzelająca horda tatarska przez trzysta lat mogła corocznie zalewać ukraińskie krajo krwią, pożogą i mordem je niszczyć i tysiące ludności uprowadzać w niewolę. Ta polska obrona granic jest jedną z najhaniebniejszych plam polskiej historyi i była jakby na to obliczona, ażeby Ukrainę na zawsze utrzymać w stanie ruiny i wyczerpania.

Pan Paderewski zestawia następnie listę swoich życzeń, nie w imieniu jakiejś partyi, lecz „poprostu jako Polak“. Życzy on Rusinom ruskiego uniwersytetu, jeśli on spadnie im z nieba, lub jeżeli go zdobędą pomimo Polaków; przedewszystkiem zaś życzy on Rusinom, ażeby tak bardzo nie nienawidzili Polaków. To jest pobożne życzenie silnego, który słabego dusi za gardło i przytem upomina: „Cicho, durniu, uspokój się!“.

Pan Paderewski wdepnął także i w statystykę z tą samą kompetencyą, co w historyę, geografię i etnografię. Podaruję mu tego jego ekskursyę statystyczną; historya ostatnich dni wykazała, że i statystyczne fałsze mają gliniane nogi.

W jego przedstawieniu historyi uniwersytetu lwowskiego zauważyłem tylko dwa kłamstwa. Po pierwsze przez Józefa II założony we Lwowie uniwersytet nie miał nic wspólnego z dawnem kolegium jezuickiem, a powtóre cesarz ten utworzył w owym uniwersytecie kilka katedr ruskich. Inną paplaninę tego uczonego pana o uniwersytecie mogę mu także podarować; warta ona tyle, co i reszta. Jeżeli jednak wspomina on o „małych męczennikach w Poznańskiem“, to niepodobna nie przypomnieć sobie analogii tych małych męczenników w Galicyi. Od wielu lat, od czasu obsadzenia ruskich szkół przez nauczycieli Polaków i polskie nauczycielki, słyszeliśmy wiele skarg na to, że ci nauczyciele, a przedewszystkiem fanatyczne, języka ruskiego zgoła nierozumiejące nauczycielki, zmuszają dzieci ruskie do odmawiania codziennej modlitwy i uczenia się katechizmu po polsku, że zakazują modlitwy ruskiej, a oporne dzieci karzą policzkami, rózgami, często obdzierają im uszy. Jeżeli to, co Prusacy czynią w Poznańskiem, jest pedagogicznym i narodowym nonsensem, to przecież nonsensu tego mogli się Prusacy w ostatnich latach dwudziestu dobrze nauczyć we wschodnio-galicyjskich szkołach.

Rozebrałem wywody Paderewskiego nieco obszerniej, niż one na to zasługują, a to głównie dlatego, że są one doskonałem odzwierciedleniem tego polskiego wulgarnego patryotyzmu, który z rozmaitych starych kłamstw i nowych bajek zlepił sobie papierowy o złotych ramach obraz dawnej Polski i sądzi, że ten obraz pozwala mu dumnie spoglądać na inne narody i Polskę uważać za szczyt cywilizacyi.

Trzeci wystąpił w szranki Henryk Sienkiewicz, wielki polski powieściopisarz o światowej sławie, genialny twórca tego wszechpolskiego szowinizmu, który obecnie zatruwa duszę polskiego narodu. W swoim rozgłośnym cyklu powieści z XVII wieku przedstawił on wszystkie sąsiadujące z Polakami narody jako barbarzyńców, a tylko Polaków jako wysoce cywilizowany, szlachetny naród bohaterski. Ukraińscy Kozacy, Szwedzi, Niemcy (Krzyżacy) wszystko to są tchórze, dzicy ludzie, okrutni rozbójnicy, podczas gdy polscy bohaterowie, to wykwity cnoty, nadludzie pod względem fizycznej siły. „Te książki pisałem w ciężkich czasach ku wzmocnieniu serca“ — powiada on w epilogu tego cyklu powieści. Czy tylko takie książki mogą serca wzmocnić, a nie raczej je zdenerwować? Sienkiewicz występuje do walki z Björnsonem z wielkim zapasem gniewu, a małym zapasem amunicyi; pisze wedle recepty: dużo słów, mało sensu. Cytuje jako dowód wysokiej polskiej cywilizacyi słowa z dokumentu Unii horodelskiej, tej papierowej ewangelii, która w czynach nigdy nie znalazła oddźwięku. Słów szuka tylko, a nie szuka faktów. Ma on bezczelność utrzymywać, że Polacy są obecnie największymi przyjaciółmi nacyonalistycznego ruchu litewskiego i pisze zachwycony: „Gdyby Björnson mógł czytać polskie pisma, toby się mógł przekonać, że cała polska prasa nie odnosi się nieprzyjaźnie do tego ruchu“. No, Björnson prawdopodobnie nie umie po polsku czytać, lecz ja mu dopomogę. Przeszłego roku wyszła w Krakowie przez Litwina Horbaczewskiego wydana broszurka pod tytułem: „Odrodzenie Litwy i idea polska“. „Pierwsze litewskie pismo „Ausra“ — czytamy tam — było początkowo redagowane w duchu dla Polaków przyjaźnym. Lecz wkrótce chwycili się kierownicy polskiej opinii publicznej najrozmaitszych politycznych plotek i oświadczyli, że odrodzenie Litwy jest filią carskiego despotyzmu, który z pomocą Litwinów chce zniszczyć polskość na Litwie“. Utrzymywali oni również, że „Ausra“ wychodzi za pieniądze Bismarcka i że litwomani podburzają lud do mordów. Inteligencya litewska głęboko zraniona na honorze rozpoczęła zaciętą walkę z temi plotkami i starała się zdemaskować złą wolę polskiej prasy. Od roku 1883, gdy w „Ausra“ pojawił się artykuł pod tytułem „Enk lank!“ (Idź precz!) skierowany przeciw Polakom na Litwie osiadłym, a wrogo dla idei litewskiej usposobionym, datuje się polsko-litewski antagonizm, który w czasach obecnych wzrósł do olbrzymich rozmiarów. Niech resztę czyta nie Björnson, lecz Sienkiewicz.

Chcę jeszcze podnieść tylko jeden bezczelny ustęp z listu Sienkiewicza, który jako historyk i statystyk stoi na równi z Paderewskim, to znaczy tak mało umie, jak i on. „Uniwersytet lwowski — powiada Sienkiewicz — został założony przez króla Jana Kazimierza w r. 1661 i nazywał się wówczas jezuickim. Że jednak nigdy nie było ruskich Jezuitów, tego nie zatają przed Björnsonem nawet Rusini. W roku 1784 po przyłączeniu Galicyi do Austryi, przemienił cesarz Józef uniwersytet ten w tak zwany józefiński. Oprócz teologii pastoralnej, której wykład polski cesarz zatwierdził, wszystkie inne nauki wykładane były po łacinie. W r. 1805 przemieniono ten zakład w liceum z językiem wykładowym łacińskim. Wobec tego zapytać należy: co oznacza i skąd pochodzi twierdzenie Björnsona, że uniwersytet lwowski był pierwotnie ruski, na którem cały jego artykuł się opiera? Jakich dowodów mu na to dostarczono? A przecież dowody są konieczne, bo bez nich wydaje się wyroki, przypominające dawne wyroki tureckie, a dzisiejsze pruskie...“

Tych dowodów nader łatwo dostarczyć można, tylko pan Sienkiewicz w bezdennej swojej ignorancyi mógł ich nie widzieć, zanim pisanie swoje rozpoczął.

W oficyalnej, po polsku i przez polskiego patryotę, lwowskiego profesora uniwersytetu dra Ludwika Finkla, napisanej historyi uniwersytetu lwowskiego czytamy, że przez Jana Kazimierza założone we Lwowie kolegium jezuickie już w r. 1763 zostało na rozkaz królewski zamknięte, a w r. 1773 wraz ze zniesieniem zakonu Jezuitów zniknęło zupełnie; to też o zamianie tej instytucyi w późniejszy uniwersytet mowy być nie może. W józefińskim Uniwersytecie byli także profesorowie Rusini: Antoni Angielowicz, M. Harasiewicz i Mikołaj Skorodyńskij (str. 83—84); w r. 1787 dekretem z 9 marca utworzono na tym uniwersytecie specyalny filozoficzno-teologiczny instytut, w którym wykładali Piotr Lodij, Jan Zemancyk, Modest Hryneweckij, Mateusz Sankowickij i i. W cesarskim dekrecie było wyraźnie powiedziane że instytut ten z językiem wykładowym ruskim powstaje prowizorycznie dla grecko-katolickich kandydatów do stanu duchownego. (Finkel, str. 86). O naukowej działalności tego instytutu podaje książka prof. Finkla dokładne sprawozdanie (na str. 85 do 95); w r. 1804 instytut ten rozwiązano.

Niech to wystarczy do scharakteryzowania lekkomyślnej, niesumiennej, a nos do góry noszącej polemiki polskich koryfeuszów. Jeżeli na wyżynach polskiego społeczeństwa takie panuje światło ducha, to jakżeż wyglądać może, niżej u dołu!

Dr. Iwan Franko.

Wystawa przyrodniczo-lekarska.

VII.

(*Szpitalnictwo i zdrojowiska*).

U ludu galicyjskiego istnieje z dawna zakorzeniony przesąd, że szpital — to przedsionek świata pozagrobowego i niejeden ubogi człowiek, chory, nie korzysta z dobrodziejstwa bezpłatnej ordynacyi, gdyż boi się, aby go nie wysłano do szpitalu. Przyczyną tego smutnego przesądu były stosunki, jakie panowały w szpitalach galicyjskich od czasu zaboru aż do zaprowadzenia autonomii. Jeszcze przed 40 laty na czele zarządów w szpitalach galicyjskich stali Niemcy, nierozumiejący języków krajowych; lekarze ordynowali na migi, a lekko chorych nierzadko zmuszano do roboty w prywatnem pomieszkaniu lekarza. Sale i przybory operacyjne, o ile w ogóle istniały, znajdowały się w opłakanym stanie. O mikroskopie i laboratoryum chemicznem ani nawet nie myślano. Wiadomości o tych stosunkach udzielił publiczności sam Wydział krajowy w jednem ze swych urzędowych sprawozdań i to ze szczegółami, w które dziś trudno uwierzyć.

Od czasu zaprowadzenia autonomii stosunki w naszych szpitalach bardzo się zmieniły. Zawiał do nich duch europejski. Pobudowano zdrowotne gmachy, zaprowadzono najnowsze zdobycze naukowe i wprowadzono lekarzy Polaków, mogących się z chorymi porozumiewać i posiadających dyplom doktorski — czego dawniej nie wymagano koniecznie. Więc dzisiaj uprzedzenie do szpitalu jest nieuzasadnione. Jeśli jednak ktoś posiada jakie wątpliwości, to niechaj się rozejrzy po wystawie z tego działu, a przekona się, jak ogromny postęp dokonał się w ostatnich trzydziestu latach. Z 33 szpitali, jakie kraj posiada, 13 jest we wzorowym stanie, a tylko 6 jest tak złych, że na ich miejsce muszą być inne wybudowane; we wszystkich innych zachodzi potrzeba większych lub mniejszych inwestycyi, aby je przyprowadzić do dobrego stanu.

Interesujące są grafikony, przedstawiające wyniki leczenia. Czytamy z nich, że śmiertelność w szpitalach spadła z 12·5%, w r. 1873 na 7% w r. 1904. Następnie widzimy, że śmiertelność malała szybciej w wielkich szpitalach (Kraków, Lwów, Kulparków), aniżeli w szpitalach prowincyonalnych, które z braku funduszów powolniej szły za postępem czasu. W r. 1872 umarło w szpitalach prowincyonalnych 13.5% chorych, w szpitalach Krakowa, Lwowa i Kulparkowa po 10% chorych. W r. 1879 spadła liczba zmarłych na 10.5% w szpitalach prowincyonalnych, a na 8.6% w szpitalach stołecznych. W latach 1880 i 1885 obydwie linie graficzne zaczynają się przecinać. I tak w r. 1904 wzrasta śmiertelność w szpitalach krajowych na 9% chorych, zaś w szpitalach prowincyonalnych spada na 5.5% chorych. Na pozór możnaby z tego wnosić, że szpitale prowincyonalne porobiły większe postępy w lecznictwie, niż szpitale krajowe; jednak w rzeczywistości jest przeciwnie. Właśnie ze względu na większe udoskonalenia, wprowadzone w wielkich szpitalach krajowych, zwiększa się do nich napływ osób ciężko chorych, wśród których z natury rzeczy śmiertelność jest większa, aniżeli między lekko chorymi.

Kulparkowski zakład dla umysłowo chorych wystawił wyroby swoich pacyentów, przeróżne drobnostki z drzewa, artystyczne malowidła, roboty kobiece i nawet — zbiór wytrychów, którymi się chorzy posługiwali do ucieczki. Największy jednak podziw wzbudzają kunsztowne roboty koronkarskie, nadesłane z zakładu ciemnych. Są one po umiarkowanych cenach do nabycia, a delikatnością i precyzyjnem wykonaniem dają się porównać z robotami najwprawniejszych specyalistek.

Z tablic krajowej Rady zdrowia czytamy, że w roku 1905-tym istniało w Galicyi jeszcze 26 powiatów, nieposiadających żadnego szpitala. Najbardziej około służby zdrowia zacofane powiaty są: Mielec, Pilzno, Brzozów i Zborów, bo tam nie ma nawet lekarza okręgowego.

Szpitalnictwo Królestwa Polskiego reprezentuje tylko wystawa szpitalu w Chełmie, bardzo ciekawa ze względu na preparaty i fotografie rzadszych chorób.

Do tej grupy zaliczyć wypada dalej sanatorya prywatne i zakłady lecznicze naszych zdrojowisk. Z biegiem rozwoju zdrojowisk podkarpackich na pierwsze miejsce wysunęło się Zakopane. Jeden z najlepszych tamtejszych przewodników służy gościom wystawowym za cicerone i udziela gorliwie wyjaśnień w sprawie wystawionych przedmiotów. Powszechną uwagę zwraca na siebie wzorowo urządzone sanatoryum dla piersiowo chorych, uwidocznione w łatwych do zrozumienia przekrojach. Inne zdrojowiska nadesłały swe plany topograficzne, fotografie zakładów leczniczych, próbki wód, borowiny, ekstrakty solne, ale — z małymi wyjątkami — omieszkały nadesłać objaśnienia najbardziej interesujące: o stanie ciepłoty, opadów meteorologicznych, obfitości wody źródlanej, a nadewszystko o materyalnych warunkach pobytu. Jakiż interes może obudzić w gościu wystawowym widok tuzina flaszek „oryginalnych“ lub pakiecików z ekstraktem soli, skoro nie powiedzą mu, jaka jest chemiczna zawartość tej wody czy soli?

Rozwój zdrojowisk jest pomyślny. Liczba gości wzrosła z 5.000 przed laty trzydziestu na 35.000 w r. 1904, a udział gości w naszych zdrojowiskach w stosunku do frekwencyi innych zdrojowisk monarchii wzrósł z 6·3% na 8·3%.

Urozmaicenie placu wystawowego stanowią urządzenia szpitalu polnego, wystawionego przez komendę 11-go korpusu we Lwowie. Obejmuje ona 3 baraki, graficzne przedstawienie zakładu sanitarnego dywizyi, wozy, namioty dla rannych i różne drobniejsze przybory szpitalne, zastosowane do pośpiesznej praktyki polowej.

Oprócz zakładów leczniczych publicznych i prywatnych wzięło udział w wystawie z tej grupy także kilka firm, fabrykujących urządzenia szpitalne i przyrządy. Mamy więc sposobność oglądać różnego systemu łóżka, szafki, umywalnie, stoły operacyjne, narzędzia chirurgiczne, nosze, opatrunki, izolatory ścian i podłóg, wzorowe pokoje dla chorych, pokoje dla dzieci itp. Z przyjemnością konstatujemy, że wiele z tych rzeczy wyrabia się już w kraju, i że krajowe wyroby w niczem nie ustępują zagranicznym.

Wypadki w Rosyi.

Łódź. Gubernator piotrkowski ogłosił, że zbieranie składek na szkołę rolniczą im. Bartosza Głowackiego karane będzie grzywną do 3000 rubli lub więzieniem do trzech miesięcy.

Warszawa. Banda uzbrojonych ludzi rzuciła 4 bomby i jeden granat ręczny w pobliżu stacyi Łapy na pociąg osobowy, wiozący dwa pułki gwardyjskie. Granat uszkodził tor; bomba nie wybuchła. Pociąg mógł dalej jechać. Banda zbiegła.

W Zduńskiej Woli nieznani ludzie zabili tkacza Jana Wernera a strzelając doń, zranili śmiertelnie 17-letnią Małgorzatę Kaczmarkównę i 14-letnią Annę Staninszankę.

Pod Tarkiem aresztowano niejakiego Andrzeja Świerczyńskiego, mordercę właściciela młyna parowego w Kościnie, p. Leszczyńskiego. Świerczyński zeznał, że do wykonania mordu wynajęło go czterech innych właścicieli młynów, konkurentów Leszczyńskiego. Obiecali oni zapłacić wynajętemu zbirowi 150 rubli, ale zapłacili tylko 38 rubli. Wszystkich czterech aresztowano.

Jekaterynburg. Wczoraj w południe wykonano na ulicy zamach rewolwerowy na szefa policyi miejskiej, który się znajdował w towarzystwie kapitana żandarmeryi. Policmajster nie odniósł rany, kapitan żandarmeryi zginął od strzału rewolwerowego. Sprawców ścigano, lecz zdołali oni uciec, raniąc podczas ucieczki jednego policyanta.

Magdeburg. Do *Magd. Ztg.* donoszą z Petersburga, że rząd rosyjski, potrzebując pieniędzy, zamierza sprzedać warsztaty okrętowe na Newie angielskiemu Towarzystwu za 175 milionów rubli.

KRONIKA.

Lwów 8 lipca.

List b. prezesa Koła polskiego w Petersburgu do Koła polskiego w Wiedniu. P. Dmowski, były prezes Koła polskiego w Petersburgu, wystosował do swojego sojusznika, towarzysza i przyjaciela we wszechpolskości prof. Głąbińskiego następujący list:

„Szanowny panie pośle! W chwili zebrania się waszego Parlamentu, Duma rosyjska została już rozwiązana, a z nią przestało istnieć Koło polskie, któremu miałem zaszczyt przewodniczyć. W chwili tej nie mogłem imieniem naszej organizacyi przesłać Kołu polskiemu w Wiedniu braterskich życzeń na zaczątku świeżego okresu waszego życia konstytucyjnego, w którym to okresie otwierają się nowe zadania dla naszej reprezentacyi narodowej. Więc niechaj mi wolno będzie teraz, gdy powróciłem do kraju, przesłać imieniem mojem i kolegów serdeczne pozdrowienia dla was na ręce Pana, bliskiego mi dawniej towarzysza pracy na gruncie waszej dzielnicy, a zarazem życzenia z okazyi pomyślnego wyniku wyborów, które się odbyły w nader ciężkich warunkach, wreszcie gorące życzenia zwycięstwa nad wszystkimi czynnikami, wrogimi naszej sprawie. Jesteśmy z wami myślą i sercem i uczymy się od was, doświadczonych w walce parlamentarnej, chociaż walka którą my prowadzimy, nie jest jeszcze parlamentarną, albowiem gdy zwyciężamy w parlamencie, wypędzają nas z niego. Nie przeraża nas to je-

---

mieli rozległe stosunki i bardzo często gościli w swoim domu znajomych ze Lwowa i z Krakowa. Śniadania, obiady, pikniki, następowały jedne po drugich, a gdy przyszedł sezon polowań, rozpoczęły się szumne wyprawy myśliwskie, na których częściej rozlegało się strzelanie korków, niż wystrzały z broni.

Pewnego dnia letniego, siedmnastego lipca, — nigdy daty tej nie zapomnę — hrabia wydawał wielki obiad. Do stołu siadło trzydzieści osób, przeważnie mężczyzn; nastrój był więcej niż wesoły.

Po upalnym dniu, wieczorem przyszła burza, polał się deszcz. Posłużyło to za pozór do wzięcia za karty. Grano w bridża i écarté. Przechodziłem od stołu do stołu, przyglądając się obcej mi zabawie; dotychczas znałem bowiem tylko pasyanse mej matki, które notabene nigdy nie wychodziły.

Stałem właśnie przy jednym ze stolików, z ciekawością śledząc za przebiegiem gry, gdy wszedł lokaj i podał mi list od matki. Szybko oddaliłem się do swego pokoju i rzuciłem się na list; matka donosiła mi, że od miesiaca jest ciężko chora; aż do dnia dzisiejszego nie pisała mi o tem, by mnie nie niepokoić, teraz jednak nie pozostaje jej nic innego, jak zawezwać mej pomocy. Środki wyczerpały się, pieniędzy na leczenie się niema, gdyż od dwóch miesięcy nie była zdolna na siebie pracować; gospodarz wyrzuca ją z mieszkania; sprzedała wszystko co się dało. Prosi więc, bym wziął dla niej od hrabiego pewną niewielką kwotę na rachunek mego wynagrodzenia. Była w rozpaczy, że jest zmuszona użyć tego ostatecznego środka, który odbije się na moich studyach uniwersyteckich, błagała mię o przebaczenie, przyrzekając, iż jak tylko wróci jej zdrowie, będzie pracowała bez wytchnienia, byle zwrócić dług, u mnie zaciągnięty.

List ten spadł na mnie jak grom. Dzisiaj dopóki są goście, nie można rozmówić się z hrabią, trzeba czekać dnia jutrzejszego i znaleźć stosowną chwilę jeszcze do odejścia poczty. Pragnąc się nieco uspokoić zszedłem na dół i powróciłem do salonu. Jeden ze stolików, przy którym grał major i jakiś bajecznie bogaty książę, otoczony był wieńcem ciekawych. Książę był zapamiętałym amatorem *écarté* i przy tej grze mógł spędzać całe noce.

Tego wieczoru szczęście dopisywało mu jak nigdy. Grano po pięćdziesiąt koron partyę, a przy szczęśliwym graczu leżały stosy asygnat pięćdziesięcio i stokoronowych.

Przyłączyłem się do grupy ciekawych i naraz znalazłem się tuż obok księcia. Rozgrywała się jakaś wysoka partya, zainteresowanie patrzących wzrastało z każdą chwilą, ktoś nawet, chcąc lepiej zobaczyć, oparł rękę na stole, zrzucając przypadkiem jeden z banknotów stokoronowych. W tej chwili stało się ze mną coś, z czego dotychczas nie mogę jasno zdać sobie sprawy. Machinalnie nastąpiłem nogą na asygnatę. Myśl o chorej matce leżała mi na sercu okropnym ciężarem, a tu, pod stopą, leżała pomoc, zbawienie... Już nie trzeba było odkładać do jutra wysłania pieniędzy matce. A kto wie, czyby jutro dał mi hrabia sto koron? A cóż dla tego milionera stanowiło sto koron. Nie wiedział pewnie nawet dobrze, ile jest naprawdę wygrany. Myśli te jak huragan przeleciały mi pod czaszką. Za chwilę byłem w swoim pokoju z asygnatą w ręku. Natychmiast wysłałem matce pieniądze...

* *
*

Doktór skończył. W pokoju zapanowało głuche milczenie. Wreszcie adwokat przerwał je, zwracając się do sędziego z jakiemś błahem pytaniem. Jakby nie widząc obecności doktora, dwaj przyjaciele przez chwilę rozmawiali o rzeczach obojętnych, nie mających najmniejszego związku z dopiero co posłyszaną historyą. Posiedzieli jeszcze czas jakiś, poczem powstali, mówiąc, że mają jeszcze interesa w mieście. Żegnając przyjaciół, lekarz poczuł, że uścisk ich dłoni był więcej niż chłodny i zrozumiał, iż dzisiejszego wieczoru na zawsze stracił ich szacunek.

dnak, ani nie zniechęca. Sposobimy się do nowych wyborów i na świeżą walkę. Chociaż odebrano nam znaczenie liczebne, walczyć będziemy wpływem moralnym, który dotychczasową naszą działalnością w Petersburgu w poważnej mierze zdobyliśmy. Niestety, gdy los drugiej Dumy był już przesądzony od chwili jej zebrania się, istnieją poważne obawy, że również następna Duma długo się nie ostoi i że to będzie już ostatnia, o ile nie zajdą wypadki, któreby wpłynęły na zmianę prądów, panujących w obecnym rządzie i na usunięcie wpływów zagranicznych, które dziś silniej, niż kiedykolwiek działają na naszą szkodę.

R. Dmowski."

Tyle słów tego nieszczęsnego listu, świadczącego najwymowniej, jaka to bałamutna i niepolityczna głowa przewodniczyła Kołu polskiemu w Petersburgu. Boć przecie każdy rozumny i polityczny człowiek stara się zawsze, przechodząc przez jakiś most na drodze swego żywota, opatrzeć go dobrze, aby został cały i nietknięty i aby po nim mógł ponownie powrócić, gdy tego okaże się potrzeba. Tylko lekkomyślni i warchoły palą mosty za sobą; tylko ludzie kierujący się nie rozumem politycznym, ale sentymentem, myślą o tem, żeby się w danej chwili oświecić bengalskim ogniem frazesu, a nie dbają o to, co będzie w przyszłości. Tymczasem p. Dmowski pali mosty za sobą i to nietylko w tym stopniu, że dla siebie zamyka wszelką polityczną działalność w Rosyi, ale nawet utrudnia ją każdemu przyszłemu prezesowi Koła polskiego w Petersburgu i wogóle całemu Kołu. Czyż on bowiem nie rozumiał tego, że w akcie takim oficyalnym, jak ten, w którym prezes jednego Koła polskiego składa życzenia drugiemu polskiemu Kołu poza granicami monarchii rosyjskiej będącemu, i w którem to życzeniu wchodzi się oczywiście na teren polityki międzynarodowej, nie powinno się było pisać żadnych (swoją drogą nieprawdziwych) przechwałek, jak ta, że „Polacy odnosili zwycięztwa w Dumie" — bo to uwłacza wszystkim innym stronnictwom w parlamencie rosyjskim i gniew w nich może wywołać; — ani też nic ubliżającego o rządzie rosyjskim. Tymczasem p. Dmowski idzie dalej i nietylko wyraża się z wysokiem lekceważeniem i niechęcią o rządzie rosyjskim, ale nawet zaczepia o trzeci rząd, oczywiście o niemiecki, i powiada, że on wpływa na rząd petersburski i że rząd petersburski bardziej, niż kiedykolwiek, ulega teraz temu wpływowi. Gdyby p. Dmowski był wszechwładnym kanclerzem jakiegoś państwa, toby po takiej enuncyacyi oficyalnej ściągnął na to państwo wojnę dwóch mocarstw; że zaś był niestety prezesem Koła polskiego, to tym swoim listem robi to, że wszyscy w przyszłości prezesi Koła polskiego w Petersburgu będą nietylko przez rząd petersburski i przez Dumę, ale i przez rząd niemiecki źle widziani, jako ludzie, którzy, gdy kadencya się skończy, mogą pisać za granicą ubliżające o nich rzeczy. I trwać to będzie dopóty, dopóki rozumniejsi od p. Dmowskiego prezesi Koła polskiego w Petersburgu nie zatrą w rządzie rosyjskim i wśród stronnictw rosyjskich, jakoteż w rządzie berlińskim bolesnego wrażenia, jakie ten list na nich sprawi.

Tyle o p. Dmowskim. A teraz słówko jeszcze o p. Głąbińskim. Wyobrażamy sobie na chwilę, że poseł Głąbiński jest człowiekiem, który dba nie o siebie, ale o kraj, i który ma głowę wysoce polityczną, to znaczy przewidującą wszystkie następstwa, jakie każdy krok polityczny w życiu za sobą pociąga. Taki człowiek, otrzymawszy podobny list od p. Dmowskiego, nie pokazując go nikomu, wrzuciłby go do pieca i wysłał do p. Dmowskiego następujące pismo: „Kochany Romciu! Strzeliłeś byka, a pocieszaj się tylko tem, że to nie pierwszy i nie ostatni w Twojem życiu. Listu Twego nie pokazałem w Kole, bo widzisz, my tu mamy ludzi bardzo rozumnych i ogromnie politycznie wyrobionych, więc takie niedorzeczne frezesy jak te, które się znajdują w Twoim liście, rzuciłyby w ich oczach na ciebie fatalne światło. Napisz na moje ręce do Koła inny list, w którym złóż serdeczne życzenia, ale nie rób żadnej wzmianki o rządzie rosyjskim, gdyż życzliwej i uprzejmej zrobić nie możesz, a wszelka nieżyczliwa i nieuprzejma, utrudniałaby działalność przyszłego Koła polskiego w Petersburgu. Powiedz za to kilka pięknych słów o parlamentaryzmie w Rosyi i w Austryi, bo tym sposobem nic nikomu nie zaszkodzisz, a pochlebisz Rosyanom, że ich mocarstwo stawiane jest na równi z mocarstwem, które już niebawem będzie obchodziło półwiekowy jubileusz parlamentarnego życia. List zaś możesz zakończyć jakimś pięknym frazesem czy na cześć wiecznego pokoju, czy na cześć braterstwa ludów, czy na cześć jakiegoś innego ideału ogólno-ludzkiego, nie dzielącego ludzi, ale ich jednoczącego we wspólnej miłości. Tym sposobem zakryjesz swoją irytacyę na rozwiązanie Dumy, które zdegradowało Ciebie z wysokiego stanowiska prezesa Koła na nic nie znaczące stanowisko pospolitego śmiertelnika, — a najważniejszą rzeczą w polityce, jest, jak wiadomo, zakryć swoje uczucia tak, żeby się ich nikt domyśleć nie mógł. Ściskam Cię etc."

Takby zrobił p. Głąbiński, gdyby był mężem politycznym. On zaś postąpił inaczej. Nietylko list w Kole przeczytał, ale co prędzej pośpieszył ogłosić go w wiedeńskich dziennikach niemieckich, żeby co rychlej i jak najskuteczniej skompromitować i siebie i swojego przyjaciela Dmowskiego — o to zresztą mniejsza — ale jeszcze żeby skompromitować Koło polskie w Petersburgu i wogóle Polaków i ich talent dyplomatyczny. To bardzo smutno!

Nowy gmach szkoły przemysłowej we Lwowie. Reprezentanci rządu i gminy lwowskiej podpisali już onegdaj kontrakt, mocą którego rząd zobowiązuje się zburzyć zasłaniające gmach muzealny skrzydło dawnego Archiwum map i wybudować własnym kosztem nową szkołę przemysłową na gruncie odstąpionym przez gminę na Żelaznej wodzie; a w związku z tem wybudować także nowy wielki gmach dla dyrekcyi skarbu, gdzieby znalazły pomieszczenie wszystkie urzędy skarbowe lwowskie, zabierające od szeregu lat wiele lokalów i kamienic prywatnych. Kontrakt ten odesłano do zatwierdzenia przez Wydział krajowy, potem zatwierdzi go jeszcze ministerstwo skarbu.

Na wykończającym się już gmachu Towarzystwa muzycznego umieszczono nnty pierwszego taktu najstarszej pieśni religijnej polskiej „Bogarodzica Dziewica". Są ludzie, którym się to nie podobało. Uważają oni, że pieśń ta nie jest polską, a przynajmniej nie dość szowinistyczną, więc też z tego powodu rzucają się na Towarzystwo muzyczne że nie umieściło projektowanej przez kogoś pieśni Gorzyckiego „Gaude Mater Polonia". Zapewne, że i ta pieśń mogła być umieszczona, ale że piękniej będzie, iż będzie pieśń religijna, przy dźwiękach której chadzali Polacy do walki, to chyba nie ulega wątpliwości.

Działanie Kółek pomocy naukowej. Istniejące we Lwowie cztery Kółka pomocy naukowej licząca około 300 członków i rozporządzające kwotą 300 kor. miesięcznie, zapewniły w roku zeszłym zupełne utrzymanie i opiekę ośmiu uczniom, (w tem trzem ze szkoły przemysłowej), a nadto udzieliły kilkunastu uczniom zasiłków jednorazowych na kupno książek i mundurków. Wobec tego jednak, że Zarząd Kółek pomocy naukowej otrzymał już dotąd tyle próśb o pomoc dla uczniów w roku przyszłym że to niesłychanie przewyższa jego możność finansową, przeto zwraca się do ogółu o poparcie przez przystępowanie do Kółek na członków zwyczajnych. Niewielki to wydatek, gdyż wkładka członka wynosi zaledwie 1 koronę miesięcznie, ale gdy przybędzie 30—40 członków, już znowu jakiś najbiedniejszy uczeń, pozbawiony w dodatku opieki domowej, będzie mógł korzystać z nauki i mieć zapewnione kierownictwo moralne. Kto nie chce się wiązać na rok przystępowaniem na członka, ten może jednorazowo wesprzeć Kółka przesyłając bądź mundurki, bieliznę i książki stare, bądź gotówkę. Datki nadsyłać należy pod adresem dra Wiktora Osuchowskiego, dyrekcya domen i lasów, albo pod adresem p. Leona Twareckiego, ul. Zygmuntowska l. 9 we Lwowie.

Z wystawy przyrodniczo-lekarskiej. Prześlicznie zapowiadała się wczorajsza niedziela na wystawie. Od rana panowała cudowna pogoda. To też popołudniu śpieszyły na wzgórze stryjskie formalne tłumy i pieszo i dorożkami i fiakrami i „nabitymi" wozami tramwajowymi. I wielkie ożywienie było na wystawie aż do wieczora, kiedy około godziny 7 nadciągnęły nagle od zachodu szare, deszczem brzemienne chmury. Spadł deszcz i w jednej chwili zmienił się obraz. Pełen ruchu i życia teren na wzgórzu stryjskiem opustoszał nagle, bo wszystko, co żyło, chroniło się bądź do restauracyj, bądź do kiosków i pawilonów, gdzie jaki taki dach był nad głową. Deszcz i chwilami grzmoty, nie trwały wprawdzie długo, ale „sen nocy letniej" na wzgórzu stryjskiem prysnął... Po chwilowem ustaniu ulewy publiczność rozpoczęła tłumnie odwrót do miasta. Może następnej niedzieli będą nieba dla chętnych zwiedzenia wystawy łaskawsze.

Dyrekcya wystawy komunikuje, że złożyła u niej pewna dama breloczki srebrne od zegarka damskiego, zgubione prawdopodobnie w tramwaju. Do odebrania w kancelaryi dyrekcyi, w pałacu sztuki.

Dziś, w poniedziałek, o godz. 7½ wieczorem będzie miał w „Sali wykładowej" na placu wystawy (na lewo obok pałacu sztuki) prelekcyę dr. Nowicki: „O gruźlicy". Ponieważ gruźlica wykazuje u nas, zwłaszcza we Lwowie, największy procent śmiertelności, więc wykład powinien zainteresować najszersze sfery.

Ważniejsze transakcye dokonane w naszem mieście w ciągu miesiąca kwietnia: Państwo Zabłudowscy sprzedali kamienicę przy ul. Trzeciego Maja l. 7, pani Zofii Rosenzweig za 350.000 kor.; państwo Platowscy kamienicę przy ul. Kraszewskiego l. 19 a p. Hermanowi Kuscherowi za 258.000 kor., p. Hausmann sprzedał grunt nabyty przed paru miesiącami od hr. Romana Potockiego przy ul. Kopernika l. 11, w obszarze 200 sążni kw. za 100.000 kor., Towarzystwu Kółek rolniczych za 130.000 kor., architekt Józef Cybulski sprzedał kamienicę przy ul. Krzyżowej l. 18 pani Aleksandrze z Bogdanów Parczewskiej za 154.000 kor., państwo Bromilscy sprzedali swoją śliczną kamienicę w stylu gotyckim, przy ul. Krzyżowej l. 36, panu Alfredowi Winterowi za 230.000 kor., dr. Jan Prus sprzedał kamienicę przy ul. Chorążczyzny l. 21 pani Zofii Markow za 193 000 kor., p. Natan Brander sprzedał p. Bronisławowi Laskowskiemu grunt przy ul. Piekarskiej l. 3 ze starem zabudowaniem za 88.000 kor. Oprócz tego dokonano ogromnej masy transakcyi gruntów budowlanych.

Wiec staroruski odbył się tymi dniami w Żurawnie. Wzięło w nim udział około 2000 uczestników, przeważnie włościan. Z inteligencyi brało między innymi udział w wiecu jedenastu xięży, dr. Dudykiewicz i grono akademików ze Lwowa. Po zagajeniu obrad wygłosił odczyt dr. Dudykiewicz na temat: „Położenie Rusinów w Galicyi". Wedle relacyi *Hałyczanina* zapytał dr. Dudykiewicz po skończeniu swoich wywodów:

— A wy kto?

— My Rusyny — zawołały tłumy.

— A może wy ukrainci?

— Ni, my ne ukranci; my ne choczem buty ukrainciamy; my Rusyny.

W jednej z uchwalonych rezolucyi było powiedzianem, że wiecownicy protestują stanowczo przeciw kradzieży imienia ruskiego i narzucania Rusinom nazwy jakichś „Ukraińców". Zebrani na wiecu znają i kochają Ukrainę, jako małą część ogromnej, rosyjskiej ziemi. W dalszej rezolucyi powiedziano: „Wiec uważa tych posłów ruskich do rady państwa i wszystkich innych, którzy wyrzekłszy się odwiecznego, historycznego imienia ruskiego, chcą je zastąpić śmieszną nazwą „ukraińskiego" — za złodziejów narodowych i zdrajców i wzywa cały naród ruski, aby ich zwalczał, jako swoich wrogów; posłom, nazywającym się „ukraińcami" wyraża wiec zupełną nieufność".

Wiec potępił następnie tych posłów staroruskich, którzy „wbrew fundamentalnym zasadom russkiej narodowej idei, nauce i przekonaniom narodowym uznali samoistność małoruskiej nacyi. Dalej domagano się „autonomii dla russkiego narodu" w granicach Austryi, wprowadzenia russkiego (przez dwa *s*, czyli rosyjskiego) języka do wszystkich urzędów i szkół, oraz russkiego marszałka, russkiego namiestnika i russkiego sejmu we Lwowie. Żądano zmiany reformy wyborczej dla zapewnienia Rusinom jeszcze większej, niż dotąd liczby mandatów. Wiec oświadczył się przeciw wolnej szkole (*„freie Schule"*), żądał zrównania typów szkół wiejskich z miejskimi, zwiększenia liczby seminaryów z ruskim językiem wykładowym; założenia we Lwowie uniwersytetu rosyjskiego, a nie ukraińskiego. Wreszcie wezwano zarząd partyi staroruskiej, aby już z początku roku szkolnego 1907/8 założył we Lwowie prywatne gimnazyum rosyjskie. Po wiecu odbyło się ugoszczenie włościan, podczas którego wygłoszono szereg mów w duchu uchwalonych rezolucyi.

Bursa polsk. Tow. pedagogicznego. Po wakacyach przystępuje Oddział lwowski polskiego Towarzystwa pedagogicznego do otwarcia bursy dla młodzieży szkolnej. Wychowankowie zapewnioną mieć będą wszechstronną, szczerą i rozumną opiekę, jak również pomoc w nauce i opiekę lekarską. Pożywienie dostawać będą zdrowe i dostateczne. Opłata za całe utrzymanie wynosi 36 kor. miesięcznie, nadto każdy przyjęty winien złożyć jednorazowo 10 kor. za korzystanie z inwentarza bursowego. Podania wraz z świadectwem ucznia za ostatnie półrocze nadsyłać należy na ręce p. Józefa Lisowskiego, Tow. polskie pedagogiczne, ul. Friedriechów, l. 10, do 30 lipca b. r.

Śmierć od pioruna. We wsi Karłów w pow. śniatyńskim uderzył piorun w 14-letnią dziewczynkę Annę Karytczuk i w jej matkę, w chwili kiedy zaganiały przed burzą kury do kurnika. Matkę zakopano po szyję do ziemi i zdołano ją przywrócić do życia, ale córki już nie można było odratować.

Królowa Małgorzata, wdowa po zamordowanym przez anarchistów włoskim królu Humbercie, oddała się po tym strasznym dniu, w którym zamordowano jej małżonka, dewocyi, dobroczynności i sztuce. Popiera artystów, zakłada szpitale i ochronki, buduje kościoły. Z tego powodu od kilku już lat w sferach włoskiego liberalizmu słychać głośne i coraz głośniejsze szemranie, że włoska królowa-matka odznacza się „tendencyami klerykalnemi". Przed kilku dniami przyszło nawet z tego powodu do skandalu w izbie deputowanych. Oto klasztor OO. Franciszkanów kupił od rządu włoskiego kawałek ziemi w okolicach Trastevere za niską cenę. Plac ten był przez długie lata oddawany do eksploatacyi jednemu z pułków bersalierów, którzy założyli tam ogród warzywny i ciągnęli zyski ze wspólnego gospodarstwa. Gdy OO. Franciszkanie przedstawili swoją ofertę rządowi, władze wojskowe usiłowały zapobiedz transakcyi proponowanej. Mimo to sprzedano klasztorowi ogród za 9000 lirów, a przeor Franciszkanów ogłosił z ambony, że dzięki interwencyi „pewnej pobożnej damy" udało mu się nabyć grunt, na którym zbudowana będzie kaplica.

Poseł Giacomo Ferri przedstawił w parlamencie dzieje tej tranzakcyi, a gdy powtórzył słowa przeora o interwencyi „pewnej pobożnej damy", rozległy się okrzyki: „Mów pan wyraźnie: królowa Małgorzata!"

Ferri nie powtórzył wprawdzie z trybuny nazwiska królowej, ale oświadczył wśród przeciągłych oklasków masoneryi, że jeżeli rząd w dalszym ciągu kapitulować będzie przed zakrystyą, i jeżeli królowie ręka w rękę z „klechami" wstępować będą w bramy Kwirynału, to lud włoski postara się o to, aby na owym pagórku powstała nowa „skała tarpejska". Groźba ta nie ma oczywiście żadnego znaczenia, bo właśnie lud włoski jest bardzo religijny i nie będzie brał Kwirynałowi za złe jego uczuć religijnych. Ale pokazuje się z tego, że nawet takie staruszki, jak królowa Małgorzata, która nic dla siebie od świata już nie pragnie, a tylko cała oddana jest służbie bliźniego, nie mogą być wolne od ataków. Gdyby jednak zrobiła coś dla masonów, to przecież katolicy nie wystąpiliby przeciw niej tak brutalnie w parlamencie, jak to uczynili liberałowie za to, że podała rękę pomocną Kościołowi.

Nobilitowany socyalista. Przed kilku dniami król duński nadał socyalno-demokratycznemu radnemu m. Aarhus, Andersenowi, order Danebroga za zasługi około szerzenia wstrzemięźliwości. Do orderu tego przywiązany jest również tytuł szlachecki. Andersen przyjął order i tytuł, kiedy zaś partyjni jego towarzysze czynili mu z tego powodu wyrzuty bronił, się tem, że order ów dostał nie jako socyalista, ale jako propagator wstrzemięźliwości od trunków. Pomimo to stronnictwo zażądało, aby order królowi odesłał, kiedy zaś Andersen uczynić tego nie chciał, zwołano zgromadzenie i wyłączono go z partyi.

Zjazd ziemców i magnezyum. *Riecz* opisuje zabawny i charakterystyczny wypadek, który miał miejsce na ostatniem posiedzeniu zjazdu działaczy ziemskich w Moskwie: Oto w środku dnia, w rozgwarze mów czarnosecinnych o buncie, o anarchii, o zabijanych codziennie 30 „wiernych sługach ojczyzny" i t. p. okropnościach, na przeciwległym końcu sali, fotograf pragnąc zrobić zdjęcie z prezydyum i części delegatów, ustawiał swój aparat i przygotowywał przyrząd do światła magnezyowego.

Prezydyum o tem wiedziało i nadało sobie odpowiednią pozę. Lecz nie wiedzieli o tem inni, i gdy przy wybuchu magnezyum rozległ się tępy huk, jak od wystrzału, wszyscy siedzący w pierwszych rzędach delegaci skoczyli ze swych miejsc, a komisarz siedzący koło trybuny i uważnie słuchający interesującego przemówienia mówcy, literalnie stoczył się z krzesła i w jednem mgnieniu oka, przerażony i wybladły, znalazł się na środku sali. Śmiech i głos prezesa uspokoił zatrwożonych!

Temperatura dnia 5 lipca o godz. 7-mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +19, we Lwowie +15, w Tarnopolu +14, w Czerniowcach +13, w Wiedniu +17, w Salcburgu +18, w Gracu +15, w Pradze +16, w Tryeście +20, w Abbazyi +18, w Raguzie +23, w Budapeszcie +17, w Berlinie +18, w Hamburgu +16, w Monachium +18, w Zurychu +15, w Genewie +17, w Lugano +17, w Anglii +12, w Paryżu +17, w Biarritz +17, w Nizzy +18, w północnych Włoszech +19, we Florencyi +17, w Rzymie +17, w Neapolu +20, w Palermo +22, w Madrycie +16, w Sztokholmie +16, w Petersburgu +15, w Wilnie +12, w Warszawie +15, w Moskwie +19, w Kijowie +14, w Odessie +17, w Serajewie +14, w Belgradzie +20, w Bukareszcie +19, w Sofii +16, w Konstantynopolu +21, w Atenach +27. (Temperatura według Celsiusza).

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano +14 R. w poł. +19 R. Bar. 768. Idzie w górę. Dość pogodnie.

W sklepie.

— Ciężkie czasy! — wzdycha inkasent.—Wszędzie gdzie byłem, polecono się zgłosić po raz drugi; wszędzie z jedynym wyjątkiem.. u mojej narzeczonej.

Widowiska i koncerty.

Colosseum Hermanów. Od 1 do 15 lipca. Największe atrakcye świata. *Acosta*, fenomen siły i zręczności. *Rhonsdorf*, mistrzowski kwartet wokalny. *Kominiarz i młynarz*, sztuka ludowa J. N. Kamińskiego. Trupa *Max Franklin*, najznakomitsi akrobaci. W niedziele i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 6 lipca.

(Z). Sfery finansowe ogromnie zajęte są pytaniem, czy Banki i Kasy oszczędności podwyższą stopę procentową od pożyczek hipotecznych, czy też nie. Gdyby ją podwyższyły, to mogłoby to wywołać wprost nieobliczalne następstwa, zwłaszcza w przemyśle budowlanym i wszystkich będących z nim w związku gałęziach przemysłowych. Pierwsza austryacka Kasa oszczędności w Wiedniu podobno na razie nie podwyższy procentu od pożyczek hipotecznych, gdyż nie jest to instytucya obliczona na zysk, a rok ubiegły był dla niej tak dobrym, że może przeboleć, gdyby zysk z tegorocznych operacyi trochę się zmniejszył. Niepewnem jest natomiast, co zrobią inne instytucye, obliczone zwłaszcza na zysk.

Dziś ogłoszono sprawozdanie komisyi kontroli długu państwowego, o stanie tego długu z końcem roku 1906. Owóż wszystkie długi państwowe Austryi wynosiły z końcem roku 1906, sumę 9.609,600.000 koron, powiększyły się zatem w ciągu roku ubiegłego o 196 milionów. Na oprocentowanie tego długu potrzeba rocznie 334½ miliona koron, z tego 59,300.000 koron w złocie, a 51,700.000 koron w srebrze.

Z Aleksandryi w Egipcie donoszą, że dzięki interwencyi międzynarodowego syndykatu banków angielskich, francuskich i egipskich udało się wskrzesić pogrzebany już instytut „Cassa di Sconto & di Risparmio" w Aleksandryi. Wczoraj otwarto na nowo zamknięte przed tygodniem biura tego Banku i zdaje się, że otwarcie sądowego konkursu zostanie zażegnane.

W Tryeście rozpoczęła już swe czynności Kasa likwidacyjna dla interesów giełdowych w kawie.

§ **Sprawozdanie giełdy towarowej.** Budapeszt 6 lipca 1907 r. (Firma J. Weisz, eksport słoniny i smalcu, Siputcza 10).

Ceny zboża wskutek trwającej spieki i mniej pomyślnych sprawozdań z prowincyi doznały znów wybitnej zwyżki, a pszenica na październik przekroczyła kurs 11 koron. Przy realizacyach uspokoiła się jednak tendencya, tylko notowania nie doznały widocznej zniżki. Obok pszenicy notowała także kukurudza przy silnym popycie wyższe ceny. Obrót efektywnej pszenicy wynosił dzisiaj 15.000 centn. metr. Prawdopodobieństwo zerwania układów handlowych z Serbią wywołało na dzisiejszej giełdzie silną konsternacyę i wobec bardzo małych zapasów smalcu i słoniny, podskoczyły ceny tych artykułów znacznie w górę.

Pszenica na październik 10.98 K., żyto na październik 8.66, kukurudza na maj 1808 6.28, owies na październik 7.89. Kursa końcowe: Pszenica na październik 10.98, żyto na październik 8.73, kukurudza na maj 5.27, owies na październik 7.89. Smalec 72.50, trzypołciowa słonina 70.00 czteropołciowa 63—64. Wszystko za 50 kg. w koronach pierwsze koszta.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze popołudniowe).

Rzeszów. Wczoraj odbył się tu Zjazd Tow. Szkoły ludowej. Na szybach okien widniały nalepki z napisem. „Witajcie!" Domy przystrojono chorągwiami. Po nabożeństwie rozpoczęły się obrady w sali Sokoła, przy udziale około 170 delegatów. Przemówienia reprezentacyjne wygłosili pp. Krogulski, wiceburmistrz, inspektor Zagrodzki imieniem rady szkolnej krajowej, Wasung w imieniu Kółek rolniczych, Dymek w imieniu Związku pracy narodowej, Mohr w imieniu Macierzy Szląskiej, Gargas w imieniu Związku teatrów włościańskich, Pęckowski w imieniu Związku okręgowego i Koła rzeszowskiego. Telegramy gratulacyjne nadeszły od poznańskiej „Straży" i od warszawskiej „Macierzy szkolnej".

Prezes Bandrowski przedstawił rozwój Towarzystwa. Rok ubiegły był rokiem normalnym; okazuje się stały rozwój. Powstał szereg szkół na kresach. W Białej od września będzie seminaryum nauczycielskie. W przyszłości Towarzystwo nie będzie samo szkół budowało, lecz przyczyniać się będzie zasiłkami do powstawania szkół. Początkowe szkółki oddają ogromne usługi oświacie narodowej; niemniej też szkoły analfabetów. W czytelnictwie zaznacza się także rozwój; powstał nowy typ czytelń samoistnych. Finanse Towarzystwa są polepszone i niema już deficytu. Towarzystwo nie chce i nie może być terenem walk politycznych; pragnie unikać tego, co nas dzieli, wszczepiać w lud ideały polityczne, ale na tle narodowem.

Warszawa. Onegdaj wyjechali równocześnie z Petersburga i Warszawy urzędnicy ministerstwa handlu i przemysłu i kilku profesorów instytutu politechnicznego do Nowoczerkaska w sprawie otwarcia tam w jesieni instytutu politechnicznego, przeniesionego z Warszawy.

Zmarły tu 4 bm. obywatel Konstanty Werner przeznaczył 30.000 rubli na rzecz warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, a 30.000 rubli na polską Macierz szkolną i uniwersytet ludowy.

Opoczno. Sędzią śledczym mianowany został Polak Franciszek Falkiewicz. (Dotąd mianowano zawsze Rosyan *Przyp. Red.*)

Paryż. Gen. Auger został przeniesiony w stan spoczynku z powodu rozkazu, wydanego do oficerów i żołnierzy, w którym radzi im, aby zawsze słuchali rozkazów komendanta, jednakże mogą czasem postępować inaczej, jeżeli sumienie im to nakazuje.

Rheims. Związek syndykatów robotników budowlanych uchwalił rozpocząć strejk generalny.

Londyn. Na zamku w Dublinie skradziono królewskie insygnia zakonu św. Patryka wartości 50.000 funt. szterlingów (1,250.000 kor.)

Montpellier. Zebranie burmistrzów uchwaliło objąć napowrót funkcye dopiero wówczas, gdy wyborcy się na to zgodzą i gdy rząd przeprowadzi w parlamencie zarządzenia dla złagodzenia nędzy na południu.

Szangaj. W sobotę wieczorem wykonano zamach dynamitowy na gubernatora, gdy przedsięwziął on inspekcyę żandarmeryi. Eksplodowała bomba, przyczem trzech oficerów zginęło, a jeden został zraniony.

Waszyngton. Prezydent Roosevelt kazał ogłosić, że wysłanie floty na wody oceanu Spokojnego ma być przedsięwzięte tylko w celu próby szybkości floty amerykańskiej, a nie ma celu wojennego. (Goniące za sensacyą dzienniki poczęły utrzymywać, że dzieje się w to celu zaatakowania Japonii. *Przyp. Red.*)

Przyjechali dnia 8 lipca. K. Jakubowski z Wołynia. M. Sokolin z Krakowa. A. Zajączkowski z Minkisza starego. M. Jaworscy z Dzikowa. S. Jasienowska z Sebastopola. W. Łopuszańscy z Łańcuta. Radca K. Mühlner z Borszczowa. K. Wolski ze Strzyżowa. S. Tauszyński z Bakowiec. P. br. Romaszkan z Czernawy. Dr. J. W. Landesberg i dr. A. Langer z Tarnopola. P. Müller Monachium. B. Heller z Borysławia.

Przyjechali dnia 7 lipca. J. Szlayen z Rosyi. Dr. B. Kawiński z Osoty. J. Pollenz, F. Gruber, A. Nassan i R. Rabl z Wiednia. L. Isenberg z Krakowa. Ks. F. Siemieński z Iwonicza. J. Szeila z Trościaniec. J. Krzysztofowicz z Artasowa. St. Pikor z Kolendzian. Dr. Dolnicki ze Stryja. Zdz. Prussówna z Białki. J. Szalamon ze Stanisławowa. P. Brzozowski z Kosmacza.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Ostrzeżenie.

Nie upoważniłam nikogo do zaciągania dla mnie pożyczek, przeto długów, na moje nazwisko zaciągniętych, płacić nie będą.

Lwów, d. 3. lipca 1907.

Józefa Kremerowa
wdowa po ś. p. Janie Kremerze, inspektorze kolei państwowych.

Budapeszt 8 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 50 kilogramów). Pszenica na październik 11·44—11·45; żyto na październik 8·86—8·87; owies na październik 7·91—7·92; kukurudza na lipiec 6·02—6·03, na sierpień 6·14—6·15, na maj 1908 6·34—6·35. Rzepak na sierpień 17·00—17·01. — Oferty: mierne. — Chęć kupna: słaba. — Usposobienie: silne. — Pogoda: piękna.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 8 lipca.

Marki 117.80, renta majowa 97·50, węgierska renta koronowa 92·85, akcye: austr. zakl. kredyt. 651·50, węg. zakł. kred. 750 00, anglobanku 303 00, unionbanku 543·50, bankvereinu 534·50, länderbanku 435.00, kolei państw. 655·75, lombardy 139.50, akcye kolei Elbethal 000.00, fabryki broni 000.00, tytoniowe 000·00, alpiny 594·50, Rima Muranyi 541·50. prag. T. żel. 0000·00, losy tureckie 185·25 ruble 252.00. Usposobienie: silne.

Lwów 8 lipca. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej dworsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 562.— do 569.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 581·00 do 594·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 400.— do 500·—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 103 —110 —.

Ruch pociągów kolejowych
ważny od 1 maja 1907 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***, 5.50*, 7.25, **8.55**, 9.45, 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 1.10.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7.20, 12.00, **2.16**, 5.40, 10.30*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: 7.01, 11.40, **2.00**, 5.15, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12,20***, 8.05, **2.25**, 3.55, 9.05*.
Z Kołomyi: 10.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.10, 12.40.
Z Jaworowa: 8.22. 5.00.
Z Sambora: 8·00, 10.30, 1.55, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3.51.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, 3.45*, **8.25**, 8.40, **2.45**, 6.15*, **7.05**, 7.20, 11.00*.
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.45, **2.17**, 7.00*, 11.15*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: 6.35, 11.03, **2.32**, 7.24*, 11.35*.
Do Czerniowiec: **2.51**, 6.10, 9.20, **1.55**, 10.40*.
Do Stryja: [illegible]
Do Rawy i Sokala: [illegible]
Do Jaworowa: [illegible]
Do Sambora: [illegible]
Do Kołomyi i Żydaczowa: [illegible]
Do Przemyśla, Chyrowa: [illegible]
Do Ławocznego: [illegible]
Do Bełzca: [illegible]
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna: [illegible]

Pociągi lokalne:

Do Lwowa:

Z Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł.) 8·25, 5·50 popołud. i [illegible] (od 1 czerwca do 31 sierpnia [illegible]) 10·05 przedpołudniem [illegible] w niedziele i rz. kat. święta [illegible] pnia codziennie [illegible]
Z Janowa [illegible] południu i 9·25 [illegible] kat. święta) 10 [illegible]
Ze Szczerca [illegible] kat. święta o 9 [illegible]
Z Lubienia [illegible] święta o 11·50 [illegible]

Ze Lwowa:

Do Brzuchowic [illegible] 2·28, 3·45, 5·45 popoł. [illegible] i rz. kat. święta [illegible] w niedziele i rz. kat. święta [illegible] i od 1 do 29 września [illegible] 1 czerwca do 31 sierpnia [illegible]
Do Rawy [illegible]
Do Janowa [illegible] przedpołud. i 9 15 [illegible] i rz. kat. święta [illegible]
Do Szczerca [illegible] w niedziele i rz. kat. święta [illegible]
Do Lubienia [illegible] i rz. kat. święta [illegible]

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

Szczęście w małżeństwie.

„Ueber das Eheliche Glück“. Nakładem F. J. Borgmanna w Wiesbadenie.

Wydawca tej książki daje do zrozumienia, że pod skromnym tytułem „Lekarza“ ukrywa się jedna z powag nauki, która u schyłku życia, na podstawie niezmiernie bogatego doświadczenia, zawarła w tem dziele szereg rad dążących do uzdrowienia stosunków małżeńskich.

Niema momentu w pożyciu wspólnem dwojga małżonków, na któryby autor nie zwrócił uwagi. Stosunki zdrowotne, budowa ciała, majątek, stanowisko, wykształcenie, zawód, poglądy życiowe, stosunki rodzinne, zwyczaje, motywy małżeństwa, charakter, temperament— wszystko to autor rozstrząsa i bada.

Zdaniem jego, mylą się ci, którzy twierdzą, że należy żenić się jak najwcześniej. Mężczyzna żeniący się przed 25-tym rokiem życia, robi w kilka lat później wrażenie człowieka przedwcześnie zestarzałego. Co do kobiet nie powinny wychodzić za mąż przed ukończeniem lat 20-tu, wtedy bowiem dopiero są fizycznie i moralnie dojrzałe.

Zdarza się, co prawda, że małżeństwa, w których mąż i żona są w jednym wieku, a nawet w których żona jest starsza od męża, bywają szczęśliwe. Małżeństwa takie jednak należy stale liczyć do wyjątków. Zwykle bowiem skutkiem rozwoju naturalnego i porodów kobieta starzeje się nieporównanie prędzej od mężczyzny, to też mąż powinien być od 10 do 25 lat starszy od żony.

Należy więc zawierać związek małżeński w wieku zupełnie dojrzałym, a skoro tak, to wypada zastanowić się nad sprawą miłości przed małżeństwem. We Francyi panuje pod tym względem przekonanie, że młodzieniec powinien najpierw wyszumieć, a potem dopiero żenić się, w Szwecyi natomiast żądają, aby młodzieniec był do chwili małżeństwa tak cnotliwy, jak panna, z którą ma zamiar stanąć przed ołtarzem.

Autor „Szczęścia w małżeństwie“, jako lekarz i człowiek doświadczony, nie zgadza się na żaden z tych poglądów i radzi drogę pośrednią.

Ma się rozumieć — powiada — że byłoby niemoralnem dla małżeństwa, a dla jego potomków niebezpiecznem, doradzanie małżeństwa młodzieńcowi dopiero wówczas, gdy goni resztkami męskości. System wyszumienia się należy potępić stanowczo. Z drugiej wszakże strony nie małe niebezpieczeństwo dla przyszłości małżeństwa stanowi młodzieniec, stojący na kobiercu ślubnym bez żadnej znajomości życia. Młodzieniec bowiem taki zniewolony bywa najczęściej do wyboru, który zaspokaja co prawda chwilową jego namiętność, ale czyni niemożliwem pożycie szczęśliwe małżonków.

Co się tyczy kobiet, autor twierdzi, że pojęcia o cnocie niewieściej, tak dawno już zakorzenione w warstwach wykształconych, powinny być niewzruszenie zachowane, jednocześnie jednak potępia surowość tych, którzy ofiary miłości tragicznej uważają za kobiety upadłe.

W możliwość przewrotu, któryby oparł pożycie małżeńskie na podstawach całkiem nowych, a więc w tak zwaną wolną miłość, autor nie wierzy.

Trwały spokój w pożyciu małżeńskiem jest tylko wówczas możliwy, gdy małżonkowie znają się dokładnie. Ponieważ zaś często przy obecnych stosunkach dopiąć tego nie można, autor żąda, aby prawo określało czas narzeczeństwa i aby okres ten wynosił co najmniej sześć miesięcy, dla mężczyzn zaś nie posiadających 25 lat skończonych, przynajmniej rok.

Także sprawą hygieny małżeństwa państwo powinno zajmować się więcej niż dotychczas. Choroby uniemożliwiające małżeństwo należałoby stwierdzić przed ślubem i poddawać w tym celu kandydatów i kandydatki do stanu małżeńskiego oględzinom lekarskim.

Jakże nierozsądną jest kobieta, wyobrażająca sobie, że po ślubie może ukazywać się mężowi w sukni brudnej lub zaniedbanej. Jakże wiele jednak kobiet trzyma się tego systemu, zaniedbuje toaletę domową, a stroi się wówczas tylko, gdy wychodzi z domu! Niemniej i owe „sawantki“, wyobrażając sobie, że zdolności ich umysłowe powinny wystarczyć mężom i zaniedbujące skutkiem tego powierzchowność swoją, popełniają wielki błąd. Lecz z drugiej strony mężowie powinni również wystrzegać się bezceremonialności w domu.

Zachowanie siły przyciągającej nie zależy jedynie od dbałości o powierzchowność, lecz także od stosunków duchowych. W szczęściu małżeńskiem gra rolę rozstrzygającą to, czy małżonkowie potrafią stale utrzymywać nawzajem uprzejmość przyjacielską. Jeżeli nie zadadzą sobie trudu pohamowania złych humorów, to pożycie wspólne stanie się dla nich męką prawdziwą. Tem to objaśnić można okoliczność, że żony, zapewniające sobie i mężom pożycie szczęśliwe, są najczęściej kobietami łagodnemi i czułemi, gdy tymczasem kobiety gwałtowne, choćby nawet obsypywały mężów czułościami, nie potrafią zapewnić szczęścia ani im, ani też sobie.

Na dowód, że trzymające się zasad rozumnych małżeństwa, zawarte nawet wśród okoliczności niekorzystnych, mogą się stać szczęśliwemi, autor przytacza kilka przykładów charakterystycznych.

Autorka angielska Elżbieta Barett była panną 36-letnią i do tego stopnia chorą, że nie opuszczała wcale pokoju, gdy o rękę jej oświadczył się o cztery lata młodszy poeta Robert Browning, człowiek piękny i silny. Małżeństwo ich stało się jednem z najszczęśliwszych i biedna chora odzyskała z czasem zdrowie. Znany poeta niemiecki Adalbert Stifter przekonał się dopiero po 10 latach pożycia małżeńskiego, że żona była najwierniejszą przyjaciółką jego i od tego czasu stosunek pomiędzy małżonkami zamienił się na idealny i czysty. Przykładem klasycznym potęgi rozumu, łagodności i cierpliwości stanowi małżeństwo Hebbel. Nieznośne braki charakteru i gwałtowności poety wystawiły tkliwość małżonki jego na próbę ciężką. Przywiązanie jej jednak do męża przezwyciężyło wszystko. To też nastąpiło w końcu porozumienie i małżonkowie przeżyli jeszcze wiele lat w szczęściu najzupełniejszem. Tak samo mniej więcej ukształtowało się pożycie Klary Wieck z Robertem Schumannem. Do idealnych zaliczyć również należy małżeństwo lorda Beaconsfielda. Małżonka słynnego dyplomaty była o 15 lat starszą od niego, pomimo to wszakże potrafiła stać się najwierniejszą przyjaciółką jego i doradczynią. Żadne przejścia życiowe nie zdołały nadwerężyć wzajemnego stosunku serdecznego tych małżonków. Nieraz też sławił Disraeli w pismach swoich duch i łagodność towarzyszki życia, gdy zaś umarła, rzekł do przyjaciół:

— W przeciągu lat trzydziestu nie zaznałem przy boku jej ani jednej chwili znudzenia.

Jadwiga Jaworska

właścicielka mleczarni

po długich a ciężkich cierpieniach, zaopatrzona św. Sakramentami zasnęła w Panu dnia 7 lipca 1907 r., w 21 roku życia.

Obrzęd pogrzebowy odbędzie się we wtorek dnia 9-go lipca b. r., o godz. 5-tej po południu, z domu żałoby przy ul. Łyczakowskiej l. 146 na cmentarz Łyczakowski, na który w smutku pogrążona matka z rodziną, krewnych, znajomych i przyjaciół zaprasza.

Lwów, dnia 7. lipca 1907.

„CONCORDIA“ A. Kurkowski.

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza